№ 42. Warszawa, dnia 8 (20) Października 1877 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

STUDYA Z LITERATURY POLSKIEJ

przez L. S. W.

III.

Elżbieta Drużbacka.

Mniemane upośledzenie kobiet w dawnej Polsce.—Stanowisko kobiety u plemion aryjskich.—Wpływ chrześciaństwa. Przeważny wpływ kobiet u nas dawniej i teraz. — Praca i wykształcenie kobiet w dawnej Polsce. — Kobiety autorki. — Zofia Oleśnicka. — Elżbieta Drużbacka; jej biografia. — Stanowisko Drużbackiej w historyi literatury. — Zalety i wady jej poezyi. — Szczegółowy rozbiór i próbki pracy Drużbackiej.— Wiersze opisowe.— Wiersze światowe. — Elegie. — Wiersze religijne, moralne i alegoryczne. — Zamknięcie.

(Dokończenie).

Mniej udatnym jest wierszyk satyryczny p. n. „Awersya pewnej damy całe życie bawiącej u wielkich dworów“. Są jednak i tutaj wyborne ustępy, malujące przesadę w strojach i manierach na pańskich dworach panującą. Tak np. poetka przytacza próbkę obmowy ze strony złośliwych, ku dworskim paniom i panom skierowanej:

Jeden drugiego w bok trącając, rzecze:
patrz, jak się za tą ogon długi wlecze.
(tak samo i w 1877)
Na tej opięto, kuso, graty stare;
znać w wodzie stała, gdy jej brano miarę.
(i dziś tak samo).
Ta jak żółw głową albo bażant chwieje,
ta zaś pod żaglem leci, gdy wiatr wieje.
Szum, szelest za nią, ni bies kogo niesie,
czyli więc zwierza uganiają w lesie.
Ta jak sikorka lub czeczotka drobna,
ta z nóg wysokich do czapli podobna.
Za tą garb stoi, okryty płaszczykiem —
tak kształtna, jakby wielbląd pod dywdykiem.
Ten w ogród cudzy musiał albo w żyto
często zaglądać, że mu biodro zbito:
powłóczy nogę, znaczna za nim ścieżka.
. . . .
Ów z taką miną w kornetach się sadzi —
ledwo o ścianę tyłem nie zawadzi;
rozumie, że to przed karetą pląsa,
gdy w kawalkacie jadąc, kręci wąsa.
Otóż tych skutków specyały dworskie.
Lepiej gryźć suchar i pić wody morskie (?)
niż przy biszkoptach i trunkach gustownych
na targowisko przyjść ludzi obmownych.

Wiersze „Na piękność Narcyssa“ i „Na pysznego, który o sobie wiele trzyma“ są dość słabe: pierwszy sławi potęgę miłości, przepełniony erudycyą mitologiczną, podobnie jak inny, również słaby „Na ciekawe oczy Akteona.“ Reszta mniej jeszcze zasługuje na uwagę; wspomnimy tu tylko o wierszyku „Na kochającą się przez dwanaście lat parę i maryaż ich,“ poświęconym Michałowi i Zuzannie — osobom, jak się zdaje, rzeczywistym, które kochały się tak długo, zanim pobrać się mogły.

Pięć „elegii“ z dążnością sentencyonalno moralną, w ogóle są słabe. Słabym jest również poemacik alegoryczny „Forteca od Boga wystawiona pięcią bram zamknięta, to jest dusza ludzka z pięcią zmysłami,“ rozwlekle opowiadający zdobycie tej fortecy przez szatana. Już to wszelkie alegorye wymagają chyba olbrzymiego talentu, ażeby nie były ckliwemi. Więcej ma wartości porachowany również do „wierszy moralnych“ poemacik o rozwlekłym tytule, zarazem dającym jego treść: „Snopek na polu życia ludzkiego związany przez śmierć starożytną gospodynią, która spotkawszy się w puszczy z pustelnicą, wzajem z sobą rozmawiają; śmierć ciekawej penitentce moc i własność swoją opowiada.“ Oto jak poetka maluje Śmierć:

Prawda, że straszna, wyschła, nazbyt blada,
junktury żyłmi jak drutami spięte;
znać nigdy nie śpi, nie pije, nie jada,
wnętrzności widać przez żebra wygięte;
gdzie oczy były, tam głębokie doły;
tam gdzie mózg mieszkał, jakby nalał smoły.
Chusta przez biodra brudna przepasana
czy z prześcieradła czy z zgniłej koszuli,
ledwie co chude zakryła kolana.
Nogi zbyt długie, cienkie, przytem bose,
ręce jak cepy przyprawione wiszą;
jednak dość ostrą piastowały kosę,
wiatry je wznoszą, jak trzcinę kołyszą,
a te bez końca jakieś prochy mielą
w dwóch szkiełkach—niby duszę z ciałem dzielą.
Snopek pod pachą z różnego zbóż ziarna
trzyma, powrósłem opasan do koła;
blizko niej stoją pracowite żarna;
paprzyca (?) kamień kręcąc, gwałtu woła,
bez smarowidła darmo piszczy, skrzypie,
bo ta nie słucha, ziarno w dziurę sypie.

Stanąwszy przed pustelnicą (imieniem Sylwią), Śmierć pokazuje jej co ma w snopku: wydobywa więc ztamtąd korony, łańcuchy, krzyże, mitry, infuły, ordery i t. d. Szeroko przy tem opisuje swoją potęgę, jak np.

Nie pysznam, chociaż sama się pochwalę,
że najuboższej chaty nie ominę;
znają mnie babskie, dziadowskie szpitale;
w jeden wór kładnę aksamit, płachcinę;
na szczupły powóz, na wytworne taczki
biorę najpierwsze damy, biorę praczki.
Słuchać mnie muszą, kogo tylko wołam,
do marszu zaraz iść każdy gotowy;
zawiłe sprawy uspokoić zdołam;
nie pytam o to, kto chory, kto zdrowy.
Pełnam litości nad ludzką chorobą,
drwię z aptekarzów, felczerów, doktora
i z alchemisty, którzy swoją probą
jako dla bydląt zażyją topora;

ja tych jęczących kalectw znieść nie mogę —
skracam ich bóle, biorąc z sobą w drogę.

W długiem opowiadaniu o niemożności uniknięcia zgonu, Śmierć przytacza, między innemi anegdotę o starożytnym mędrcu, którego zabił orzeł, zruciwszy mu z góry na głowę żółwia (Grecy opowiadali tę anegdotę o poecie Eschylosie); o młodzieńcu, któremu było przepowiedzianem, że umrze od lwa, a chociaż strzegł się zwierząt i lasów, umarł, stłukłszy rękę o malowidło, które lwa przedstawiało; o córce sułtańskiej, której przepowiednie kazały strzedz się ogrodów, jako przyczyny śmierci, a która, choć w wieży nad morzem, zdala od ogrodów przez troskliwego ojca trzymana, umarła wskutek ukąszenia żmii, ukrytej w winnem gronie i t. p. Sens moralny stanowi przestroga, że codzień należy sobie przypominać o śmierci nieuchronnej.

Poemacik „Trzy Monarchinie, to jest Zacność urodzenia, Mądrość i Piękna uroda“ jest bardzo słaby.

Lepszem daleko jest „Opisanie odmiany czasu,“ w którem poetka skarży się, że teraz damy więcej ogniem miłości płoną niż kawalerowie. Wstęp jest wcale udatny:

O czasie zmienny, nie srebrny, nie złoty!
Żelazneś zaczął kręcić kołowroty.
Czy cię wiek zeszły w zardzewiałej porze
w marmur obrócił, w lodowate morze?
Znać żeś nie umiał rządzić swoją szarżą,
kiedy się damy przed bogami skarżą,
że w twych obrotach, przy dojrzałym włosie,
miłość ci zbrzydła, bo nadzieja w trzosie.

Dalej, uciekając się do mitologii, poetka skarży się żartobliwie:

Przedtem Apollo, kiedy Dafnę gonił,
zapocił czoła, głowę nieraz skłonił;
prosił, łagodził, wzdychał, płakał, chwalił —
kamień by się go zlitował, użalił.
Teraz czas zaczął opaczną robotę:
nimfa pasterza gonić ma ochotę.
Dafnis całuje, ściska, płacze rzewno —
Apollo jak pień, czy spruchniałe drewno.

W końcu poetka młodzieńcowi, na żar miłości obojętnemu, życzy „stuletniej baby.“

Dwa poemata biblijno-religijne „Życie świętego Dawida“ (3750 wierszy) i mniejszy nieco p. t. „Pokuta św. Maryi Egipcyanki, są bardzo słabemi przeróbkami wierszowanemi z historyi biblijnej i opisów ascetycznego życia pustelników. Czasem tylko udatniejsze wiersze płyną z pod pióra autorki z werwą, gdy dotyka stosunków krajowych. Oto np. jeden z takich ustępów o marnotrawstwie magnatów (z Życia św. Dawida).

Widzimy w wieku naszym wielu sukcesorów,
jak marnie zażywają antenatów zbiorów:
bo ich to nie kosztuje — gotowoć zastali,
na co rodzice w pocie czoła pracowali.
Ojciec, pan z panów będąc, ma humor być panem,
wstydzi się stół zastawić sztuką mięsa z chrzanem;
syn po nim, choć ubogi, ale przecie hardy,
gorzkiej w prywatnym kącie zażywa musztardy.
Ojciec w senacie siedzi, w purpurowej todze;
syn ledwo ma sukienkę w cudzoziemskiej drodze,
gdyż co z sobą wziął z domu na edukacye,
jedno wzięły amory, drugie — komedye.
Czeka z niecierpliwością poczty z swej ojczyzny,
rychło po starym ojcu śmierć mu da puścizny.
Czuwa jak sęp na trupa, lecieć się gotuje,
gdy umarłego ojca przez listy poczuje.
Spieszy nie po to, żeby łzy z oczu wytłoczył,
ale żeby na grobie ojcowskim wyskoczył,
żeby skarbce otwierał, splądrował szkatuły,
jak wiele tam oszczędne ręce złota wsuły.
Dopiero wtenczas kontent młody pan i gładki,
kiedy napakowane zastanie szufladki;
obmyśli prędki sposób, jak złoto chędożyć
zaśniedziałe: trzeba je w ręce ludzkie włożyć.
Zbiera zewsząd kapele, przyjmuje stojaków, (?)
na stajni chowa dzielnych pięćdziesiąt rumaków;
psów różnego rodzaju w kilku psiarniach wyje;
sam się po lasach włócząc, jak dziki mąż żyje.
Potem, kiedy kapela wytrąbi intratę,
słudzy głodni — słoniny ledwie mają łatę;
psom nie stało wywary — wysłać je do jatek,
myśliwcy niech po krzakach wieszają ostatek.
Potem z pana syn chudym zostawszy pachołkiem,
często za równym sobie usługuje z stołkiem;
wspomina cicho ten czas, gdy mu też służono—
gdy stoły zastawiano, w bród wina noszono.

Słabe są także, w podobnym co i powyższe guście, poemacik „Pokuta św. Maryi Magdaleny“ i wiersz „Na obraz ścięcia św. Jana Chrzciciela.“ Pomimo szczerej pobożności, Drużbacka nie miała talentu do poezyi religijnej, która jest u niej tylko nudną przeróbką wierszowaną przykazań i prawideł moralności, nieożywioną leniwym tokiem opowieści.

Alegoryczny poemacik „Fabuła o książęciu Adolfie dziedzicu Roxolanii“ opowiada, jak ten książę dostał się do bogini Fortuny i tam pędził szczęśliwe życie w wiecznej młodości przez lat trzysta, tak że „czas o nim zapomniał,“ ale w końcu to mu się sprzykrzyło i wyrwał się od bogini na rączym koniu, a gdy nie usłuchał przestrogi bogini, żeby w drodze z konia nie zsiadał, śmierć go porwała i udusiła, a Fortuna, opłakując straconego kochanka, zamknęła drogę do swego raju:

Klamka od fórty fortunnej zapadła.
Ścieżki, gdzie przedtem kwitły na nich róże,
cierniem zarosły; dla tego nie może
nikt teraz trafić, ktokolwiek jest żywy.
Kto po nas będzie, niech się nie napiera,
żeby bez odmian czasu był szczęśliwy;
każdy w kłopotach żyje i umiera.

Sens moralny poemaciku tego jest ten, że człowiek nie umie szanować szczęścia. Wiersz gładki i wartość tego utworu w ogóle wyższa od wartości innych wierszy alegorycznych, o których wspomnieliśmy wyżej.

Fantastyczna „Historya o księżnej Elefantynie“ należy do najsłabszych utworów Drużbackiej; jest to owoc zepsutego smaku, który zależał na zaprzątaniu wyobraźni dziwacznemi wymysłami. O równie lichych wierszykach okolicznościowych i panegirycznych wystarczy uczyniona już powyżej krótka wzmianka.

Nakoniec w zbiorze utworów Drużbackiej znajdują się jeszcze cztery wierszyki, napisane na żądanie przez jakiegoś dygnitarza temata: pierwszy o niestosowności używania względem ludzi wyrazu *adoracya*, który godzi się stosować tylko do Boga; drugi — o przywłaszczaniu bez skrupułu cudzej własności jak np. psów i t. p., trzeci — o polowaniu na cudzych gruntach i czwarty, pod względem obyczajowym najciekawszy, o szpetnem i nieprzyzwoitem przysłowiu dam ówczesnych, którego zwłaszcza w strachu używały. Przysłowie to zaczynało się od głoski *k* i dla tego poetka mówi, że owe damy pierwiej poznały z abecadła *K* niż *A*, a o przysłowiu utrzymuje że jest „przysłowie płoche, lubo jest bez grzechu, ale wstydowi tej płci krzywdę robi.“

Na tem zakończymy rozbiór prac Drużbackiej. Ażeby nie powtarzać wypowiedzianej już powyżej ich oceny, odwołamy się tylko do niej, a szczegółowy rozbiór będzie, jak mamy nadzieję, streszczeniem wypowiedzianego powyżej sądu. Co do języka, przytoczone próbki dają miarę dziwnej jego czystości w czasach, gdy nikt czysto po polsku nie pisał, niekiedy tylko czytelnicy mogli dostrzedz zbyteczne wyrazy cudzoziemskie jak *rekomenduje*, *prezentuje*, *kompan*, *cholera* (zam. gniew), *szarża* i t. p. Wyrazów tych istotnie u Drużbackiej bardzo dużo. Co się tyczy budowy wiersza, widać jego gładkość i niekunsztowność Rymy są wprawdzie nie wyszukane, ale podobne znajdujemy i u Kochanowskiego niemal wszędzie (ojczyzny — puścizny, gotuje — poczuje i t. p.) co, jak mniemamy, pochodziło (zwłaszcza u tak wysoko utalentowanego i wykształconego poety, jak Kochanowski) nie z zaradności, ale raczej z naśladowania toku poezyi ludowej, w której zawsze prawie rymy są najprostsze — najczęściej te same przypadki imion i te same czasy słów. Pogląd ten wypowiadamy tu po raz pierwszy i wydaje się nam bardzo prawdopodobnym.

U SIEBIE.

(Z Bajrona).

W obozie znajdziesz sławę, przy dworze zaszczyty,
Wpośród gwarnej biesiady wesołości wiele,
Lecz tylko w swym rodzinnym zaciszu ukryty
Znajdziesz szczęście prawdziwe, spokój i wesele.
Gdy jesteś zrozpaczony, smutny, bez nadziei,
Nie szukaj swego szczęścia w jasnych marzeń niebie,
Nie szukaj go wśród świata, wśród burzy zamieci,
Bo znaleźć je potrafisz li tylko u siebie.

Natalia D.....k.

MARYA.

Powieść

przez El. Orzeszkową.

(Dokończenie).

Tak z głową pełną marzeń, z piersią pełną łez, stałam długo o stare sztachety wsparta, aż usłyszałam turkot kół na dziedzińcu. Po chwili, kroki męzkie ozwały się za mną na zwirze usciełającym ogrodowe ścieżki. Odwróciłam się i czułam sama że stoję cała w płomieniu...

Jednak powitaliśmy się tak jak witają się ze sobą codzień dobrzy znajomi, tylko usta nasze na żaden sposób wymówić nie zdołały żadnego słowa powszednich pozdrowień. Ja twarz jego widziałam jak przez mgłę.

On pierwszy przerwał milczenie. Zdjął z głowy kapelusz ruchem takim jakby lekki ten przedmiot ciężył blademu jego czołu, obejrzał się dokoła i rzekł:

— Jakie piękne miejsce!

— Pokażę panu wiele piękniejszych jeszcze, odpowiedziałam całkiem już przytomna i ręką wskazałam mu drogę sunącą wzdłuż brzegu Niemna, ku ciemniejącemu w dali lasowi.

Spełniły się więc przedchwilne marzenia moje. Szliśmy obok siebie pomiędzy dwoma ścianami zieloności ale nie sami jedni. Postanowienie moje z przeraźliwą jasnością stało przed moją pamięcią, wolną już od mgły gwałtownego wzruszenia.

Szliśmy bardzo powoli. Wierna danej obietnicy pokazywałam mu jeden po drugim dyamenty strojące ulubioną moją drogę. Pierwszym z nich była stroma, naga ściana przeciwległego brzegu rzeki, cała czerwona teraz od jaskrawości zachodzącego słońca, tu i owdzie tylko splamiona czarnym bukietem

nizkiej sośniny. Był to dyament z jaskrawym, ponurym blaskiem.

Ale o kilka kroków ztamtąd, śmiał się i iskrzył wesoły krajobraz z okrągłą łączką zieloną jak szmaragd, ujętą w wieniec śnieżnych pni brzozowych. Drobne liście brzóz wyglądały jak roje ruchliwych iskier, za niemi stało ciemne tło wysokich dębów.

Przed obrazem tym oddychającym cichą wesołością, staliśmy minut parę.

Jak tam świeżo być musi i cicho, na tej łące, rzekł Adam a po chwili zapytał: Czy istnieje tu jaki sposób dostania się na przeciwległy brzeg rzeki?

Snać jemu tak jak mnie zaszumiało w głowie szalone marzenie przeprawienia się tam za rzekę, na ten cichy raik, który świeżością swą wabił płonące nasze czoła i gdzie w cieniu ciemnych dębów bylibyśmy tak sami jedni, tak oddaleni od wszystkiego co na świecie huczy walką i znojem.

— Dawniej, odpowiedziałam, kiedy tu z ojcem moim mieszkałam, mieliśmy łodzie i inne jeszcze sposoby przebywania rzeki, ale teraz niedostaje tu wielu rzeczy potrzebnych. Myślę też tego jeszcze lata urządzić środki przeprawiania się na brzeg przeciwległy gdzie znajduje się spora część Porzewińskich gruntów, gdzie więc nietylko miłe przechadzki pociągać nas mogą...

Mówiąc te słowa nie patrzałam na towarzysza mego. Więcej też czułam jak widziałam że nagłym ruchem zwrócił twarz swą ku mnie, tak zupełnie jakby słowa moje zadziwiły go albo przelękły. Rozumiałam jego milczenie, wiedziałam dla czego twarz jego skamieniała jakby na rozkaz woli, a pobladłe usta wymawiały rzadkie i tylko obojętne wyrazy. Rozumiałam że czekał on aż spojrzeniem albo słowem jakiem mówić mu pozwolę. Radość ta jego i panowanie nad sobą nie dziwiły mię wcale, takim przywykłam widzieć go w snach i na jawie; tkliwym i namiętnym z natury, silnym i śmiałym, przez wolę i rozum.

Nie mogłam nie spojrzeć na niego. Tak jak w przedchwilnych marzeniach moich zobaczyłam profil jego ze spuszczoną w zamyśleniu powieką, ale zamyślenie to było ciężkiem jak ołów a ramiona jego skrzyżowały się mu na piersi nieruchomie i mocno. Podniósł wkrótce powieki. Spojrzenie jego nie zatrzymało się na mojej twarzy ale z pod brwi mimowoli ściągniętych, głębokie i jakby zagasłe pobiegło w przestrzeń.

Zielony raik łąki, brzóz i dębów pozostał już daleko za nami. Teraz, za rzeką widzieliśmy czarne pólko pnące się po stromej wysokości i skratowane zielonemi miedzami. Po jednym z zagonów z ciężkością posuwał się w górę pług prowadzony przez wieśniaka zaorywającego ostatnią w dniu skibę.

— Tak więc! wyrzekł Adam powoli i głosem który z ciężkością wychodził mu z piersi, tak więc człowiek musi koniecznie i ciągle popychać pług swój przed sobą... aż do zachodu słońca...

— Aż do zachodu życia, powtórzyłam.

Po chwili Adam mówić zaczął.

— Znajduję się w porze życia w której traf czy własna zasługa moja, jedno i drugie zapewne, pozwalają zdolnościom i siłom moim wejść na wyższe pole działania niż to śród którego rozwijały się one dotąd...

— Słyszałam o tem, szepnęłam.

— Tak; wieści wszelkie rozchodzą się szybko. Tym razem wieść nie skłamała. Jestem wezwany do pełnienia ważnego i pięknego obowiązku. Wezwanie to, przyniosłoby mi w każdej innej porze mego życia, wielką radość i nadzieję sięgającą wysokich sfer dążeń i pożądań. Odpowiada ono najzupełniej wszystkiemu co kiedykolwiek pełnić zamierzałem dla ludzi a marzyć mogłem dla samego siebie. Teraz jednak...

Umilkł nagle. O! jak prędko jak nieubłaganie prędko biegła ku mnie straszna chwila! Nie mogłam iść dalej. Czułam się tak słabą że oparłam się o wysmukłą brzozę przy której stałam.

Dziwne bywają niekiedy żarty ślepego trafu! Miejsce na którem stanęłam było tem samem miejscem na którem żegnaliśmy się niegdyś, w owym niezapomnianym nigdy dniu pierwszego spotkania. Z jednej strony cienista ścieżka wiła się i niknęła w zaroślach leśnych, z drugiej rzeka płynęła u stóp nizkiego brzegu, szeroka i szemrząca.

Spojrzenia nasze razem pobiegły po zakrętach ścieżki i utonęły na chwilę w tajemniczych cieniach lasu.

— Pamiętam miejsce to, rzekł Adam.

Na czole jego spoczywały dwie głębokie bruzdy i oblewały mu pobladłą twarz wyrazem smutku i siły.

— Od owego dnia w którym, na miejscu tem pożegnałem niegdyś panią, upłynęło dla mnie wiele dni różnych... Wszystkie siły moje poświęciłem temu co wtedy nie pozwoliło mi tu pozostać... Miewałem godziny zapału i cichej pracy, głębokich radości zadowolonego sumienia i wysokich aspiracyi myśli, szukającej prawdy; szczęścia takiego jak to które ujrzałem teraz, nie miałem...

Po chwili milczenia, mówił dalej, lecz coraz powolniej i ciszej.

— Szczęście to nie ukazało mi się w postaci łatwo dostępnej. Oplątują go dokoła względy i okoliczności życiowe, których wagi zapominać nie mogę. Dla tego nie chcę go sobie zdobywać ani prośbą ani gwałtem okazywanego pragnienia lub żalu. Przybyłem tu aby z prawością człowieka który spełnienie najdroższych życzeń swych przyjąć może tylko od przytomnej myśli i woli, zapytać panią: czy mam odjechać sam jeden?

Słowa zawierające pytanie, wymówił tak już cicho, że odgadłam je więcej niż usłyszałam. Ziemia i niebo zmieszały mi się przed oczami.

— Jedź! szepnęłam.

Wtedy uczułam obie ręce moje uwięzione w gwałtownym uścisku dwóch gorących dłoni. Podniosłam wzrok, i o! niechaj sumienie moje przebaczy mej pamięci bo ja chwili tej nie zapomnę nigdy! Oczy nasze tonęły w sobie rozpłakane największym żalem jaki się w sercu ludzkiem mieścić może, rozmodlone najstraszliwszą modlitwą ofiary.

— Pozostaniesz tu na zawsze? wymówił ścicha.

Zebrałam wszystkie siły i chyląc nisko głowę odpowiedziałam:

— Na zawsze!

Ramiona jego drgnęły tak jakby chciał przyciągnąć mię ku swej piersi. Ale było to jedno mgnienie oka. Dłonie które więziły ręce moje w długim, ostatnim uścisku rozplotły się, usłyszałam szelest szybko oddalających się kroków. Krzyknęłam, podniosłam twarz i wyciągnęłam ramiona...

Nadaremnie; byłam już samą. . . . . . .

. . . .

. . . Przed chwilą otrzymałam list twój, Klementyno. Dziękuję ci żeś mię odgadła. Zrozumiałaś że aby módz żyć dalej potrzebowałam wiedzieć że on żyć może. Przybył więc pomiędzy was i znajduje się pośród ciepłych, przyjaznych serc Waszych. Wzrok jego mniej spokojny jest i czoło mniej gładkie jak dawniej, znać że przez życie przeciągnęła mu płomienna burza. Ale, piszesz, sił mu nie zbraknie do kroczenia piękną drogą która otworzyła się przed nim. Dziękuję ci, Klementyno, za wieści te!

Co ze mną? Milcząc cierpię i łamię się z sobą. Mówię sobie ciągle to co *on* wyrzekł do Was a coś ty mi w liście swym powtórzyła: wielkie boleści leczą się tylko wielkiemi trudami. Wschód słońca widzi mię obudzoną, przez dzień cały krążę pośród rodziny mojej, czyniąc każdemu co mu potrzeba, jestem wszędzie gdzie wzywa mię robota jaka, przygotowuję wiele rzeczy które udoskonalą, rozszerzą albo upiększą dom mój tamten i ten... i tylko późną nocą niekiedy gdy wszyscy już śpią i nikt ani widzieć ani słyszeć mię nie może, padam czołem przed niebem gwiaździstem, wspominam i płaczę.

Z cichem też rozpamiętywaniem wpatruję się często w świeży grób który wzniósł się w mem sercu. W grobie tym spoczywa jedyny płomienny sen mego życia, wielkie szczęście dwojga ludzi którego oni wyrzekli się dobrowolnie. . . . .

. . . .

. . . Czy wyrzekając się nie goniliśmy próżnych ułud? Czy odrobina dobra którą sprawić mogliśmy wartą była aby okupić ją cierpieniem które wielkiem jest i długiem pewno będzie? Zaprzeczą pytaniom tym szydercy. Ale my którzy wierzymy w ważne i święte ideały ludzkości, wiemy że ofiarę naszą zapaliliśmy przed godnym jej ołtarzem.

A nagroda dla nas? . . . .

. . . .

. . . Niekiedy, miewam widzenie, które mię pociesza. Myślę, że dla mnie i dla niego przyjdzie kiedyś zachód życia... pługi nasze wciągnięte już będą na najwyższe dostępne nam szczyty. Wtedy spotkamy się może znowu. Po idyli poranku i burzy południa, przyjdzie łagodny wieczór ukojenia. Podamy sobie ręce jak ludzie którzy nigdy nie rozłączali się z sobą zupełnie, bo drogami od siebie oddalonemi wiodła ich jedna gwiazda do jednego celu. Podamy sobie ręce i w długiej uroczystej, szczęśliwej rozmowie opowiemy sobie wzajem *jak* i *dla czego* żyliśmy zdala od siebie!

KIANA.

Obrazek z wysp Sandwichskich

p. C. de Marigny.

(Dalszy ciąg).

Dojechaliśmy do kresu naszej wycieczki; Frank oprowadził mnie po plantacyi znaczną już zajmującej przestrzeń. Objaśnił mnie że kiedyś cała ta część góry pokryta była lasem sandałowym, który zniszczony został zupełnie przez nieumiejętną eksploatacyę. Drzewo sandałowe bardzo drogo sprzedaje się w Chinach, to też w trudnych razach wodzowie kazali wycinać drzewa sandałowe dla spieniężenia ich. Frank chciał odtworzyć zniszczone bogactwo i co rok zasadzał po kilka tysięcy drzewek sandałowych. Przez dwie godzin oglądaliśmy dokonane prace; podziwiałem trafność pomysłu, pewność sądu, oraz łagodne, pełne cierpliwości obchodzenie się młodego mego przyjaciela z kanakami. Umiał im wytłomaczyć, przełożyć i zainteresować ich urzeczywistnieniem swego zamiaru, przedstawiając jakie w przyszłości zapewnia korzyści. Frankowi to i podobnym jemu osadnikom, archipelag hawajski zawdzięcza dziś swoją pomyślność i zachowanie swej niepodległości.

Po lekkim posiłku odjechaliśmy z powrotem do fermy. Frank pragnął jak najśpieszniej być w domu, to też zaraz po południu przybyliśmy do fermy. Janina dostrzegła nas zdaleka; siedziała na weren-

dzie przy starym ojcu Franka i złośliwym powitała nas uśmiechem.

— Nie spodziewaliśmy się że tak prędko wrócicie, rzekła do Franka; ojciec twój mówił mi że przyjedziecie ledwie przed nocą, gdyż plantacya tak żywo cię zajmuje, że oderwać się od niej nie możesz.

— Zazwyczaj tak bywa ale dziś chciałem wracać jak najśpieszniej tak rzadko się widujemy!

— Więc dla mnie przyśpieszyłeś powrót? rzekła żartobliwym tonem, sprzecznie z poważną, pełną prostoty mową Franka.

— Tak, odrzekł tylko.

Zmieszała się i dla ukrycia tego obróciła się ku mnie podając mi rękę; rozpoczęła się obojętna rozmowa; Frank odszedł zająć się przygotowaniami do jutrzejszej wycieczki. Powróciwszy prosił Janiny aby się z nim przeszła; upał dzienny przeminął; ciepły i wonny wietrzyk poruszał lekko wielkiemi hibiskusami których wysokie gałęzie pochylały się nieco pod lekkim ciężarem ptaków, szukających wśród nich nocnego schronienia. Podał jej rękę i odeszli; powiodłem za nimi wzrokiem szczerze pragnąc powodzenia mego przyjaciela.

Wrócili po godzinnej przechadzce, gdy odezwał się dzwonek zwołujący na obiad. Dostrzegłszy ślady łez w oczach Janiny, nie mogłem powstrzymać się od zapytania: Co pani jest?

— Byłam z Frankiem na grobie matki i siostry jego; mówił mi o nich, mnie co nie znałam matki mojej i nie miałam siostry rozpłakałam się rozrzewniona.

— Czy też nie mógł w inną zwrócić się stronę i weselszy obrać przedmiot rozmowy?

— Czemu? nie pojmuję, rzekła z pewnem zniecierpliwieniem, jak możesz pan mieć mu to za złe; tylko z osobami które szanujemy i kochamy mówić możemy o tych cośmy kochali.

— Masz pani słuszność, nie zastanowiłem się; wiem jak Frank szanuje cię i kocha, więc...

Przerwała skinieniem i spojrzała mi w oczy jak gdyby chcąc wyczytać w nich znaczenie słów moich i myśl w nich ukrytą, poczem z dumną obojętnością odwróciła głowę. Obiad na stole, rzekła, rachuję na pana że wynajdziesz nam jaki... bardzo wesoły przedmiot rozmowy.

Zasiedliśmy do stołu; pomimo chęci nie byłem posłuszny księżniczce, więcej uważałem niż mówiłem. Frank był poważny ale nie smutny, mówił więcej jak zwykle. Co do Janiny, chwilami zdawało się że chce zniecierpliwić Franka, przeczyła mu i przekomarzała się a niezadługo znów uważnie słuchała jego mowy. Objawiał swoje zamiary, mówił o przyszłości archipelagu hawajskiego, o prędkich postępach cywilizacyi i zaborczych zachciewkach wielkich mocarstw. Był on stronnikiem niepodległości archipelagu i obawiał się coraz więcej rozkrzewiającego się wpływu amerykańskiego, licząc jedynie na Francyę i Anglię że dla utrzymania równowagi bronić będą niezależności wyspy.

— Postępowano za pośpiesznie; mówił Frank, kraj zaledwie wyzwolił się z więzów feudalności a już zaczynają dowodzić że rząd konstytucyjny nie jest dość liberalny. Zapominając że wiek jeszcze nie upłynął od czasu przybycia na archipelag pierwszych misyonarzy, przeceniają otrzymane rezultata, tylko nie znający dobrze kanaków mogą mniemać, że wszyscy szczerze przyjęli religię chrześciańską.

— Większość ludu została chrześcianami, rzekła Janina, ale jest wielu i takich co porzucili zabobonne obrządki swych przodków, nic nie podstawiając w ich miejsce. Niektórzy zachowali dawną religię, tylko ukrywają się z tem troskliwie; do takich zdaje mi się, należy Kimo.

— Kimo! zawołałem, czy o nim mówiłaś pani wczoraj?

— Tak.

— I trzymasz pani w swoim orszaku jednego z ostatnich czcicieli bogini Pele.

— Nie wiem czy jest wyznawcą i czy tajemnie cześć składa bogini Pele, ale wiem że Kimo nie podziela przekonań większości kanaków, i trzyma się zdala od wszelkich obrządków religijnych. Daremnie starałam się wybadać go pod tym względem, zachowuje uparte milczenie.

— Mówiłaś pani że Kimo jest wierny i przywiązany?

— Życieby oddał dla mnie i nigdy mnie nie opuszcza. Matka jego była moją mamką. Kimo towarzyszy mi zawsze we wszystkich podróżach i wycieczkach; jest czynny, energiczny, przezorny, przytomny, rozumie każde moje spojrzenie, nieposzlakowanie wierny i poczciwy. Ile razy bawię w Honolulu, on prowadzi moje rachunki i zarządza służbą, a w podróży jest nieocenionym przewodnikiem, jutro będziecie mogli przekonać się o tem. Powiedziałam mu jaką drogą i gdzie udać się zamierzam, a z resztą już we wszystkiem można spuścić się na niego, przygotuje i obmyśli wszystko, przewidzi nawet nieprzewidziane.

— Nieoceniony służący... I on zna przepowiednię Kiany?

— Jestem tego pewna, ale bardzo wątpię aby ją panu powiedział. Kimo nie lubi cudzoziemców; będzie dla pana grzeczny, pełen szacunku, ale nie wda się w długą rozmowę, wielkiej dokazałbyś pan sztuki, gdybyś wybadał jego tajemnicę.

— Dla czego Kimo nie lubi cudzoziemców?

— Tego nie wiem; do mnie tylko przywiązany jest nieograniczenie. Kimo zazwyczaj mówi mało; jest to kanak starej daty, zamknięty w sobie, dumny ze swego pochodzenia i rodu, surowy dla siebie i dla innych. Ziomkowie szanują go i obawiają się zarazem; jest on bardzo rozgarnięty i sprytny, i zdaje mi się że nie da się panu wyprowadzić w pole.

Wnosząc z mowy Janiny niewiele mogłem obiecywać sobie, jednak postanowiłem spróbować. Frank słuchał w milczeniu tej rozmowy.

Równie jak wczoraj na herbatę zeszliśmy się u ojca Franka; wieczór zszedł na pogawędce rozeszliśmy się wcześnie, aby nazajutrz wyjechać przed świtem.

Karawana nasza wyruszyła równo ze wschodem słońca; tak więc po chłodzie przebyliśmy polankę i zapuściliśmy się do lasu; na brzegu zatrzymaliśmy się nieco aby spojrzeć jeszcze na gościnny dach pod którym czas przeszedł tak nam mile. W kilka chwil później gęsty las zasłonił nam horyzont; droga szła prosto wśród gęstej zieleni. Na przodzie jechał Kimo z dwoma kanakami, za nimi *vakerosi* na małych chudych i żylastych konikach. Przy ich meksykańskich siodłach przytwierdzone były skórzane *lasso* z któremi nie rozstają się nigdy i które w ich ręku straszną stają się bronią. Krótkie błyszczące siekiery wisiały im u pasów, z za cholew od butów wychodziły rękojeście noży, któremi dobijali i rozbierali dzikie bawoły i dziki. Za nimi postępował szereg kobiet krajowych, była to świta Janiny. Trudno sobie wystawić jak malowniczo wyglądała ta grupa kobiet w długich jasno barwnych, pięknie udrapowanych tunikach; głowy ich przystrojone były w wianki uplecione z prześlicznych kwiatów i liści. Koniom swoim założyły na szyje wieńce paproci aby je chroniły od spieku i ukąszeń mustyków. Ja, Frank i Janina jechaliśmy w pewnej odległości, a zamykali pochód kanakowie prowadzący muły dźwigające nasze pakunki i zapasy żywności.

Chcąc Janinę i Franka zostawić samych, popędziłem konia i stanąłem obok Kimo: znałem go z widzenia, ale dotąd zaledwie kilka słów zamieniliśmy z sobą, gdy będąc w Honolulu odwiedziłem księżniczkę. Zobaczywszy mnie skłonił głowę, a dwaj jadący obok niego kanakowie, zwolnili kroku aby nam nie przeszkadzać w rozmowie.

— Jakże jesteś akuratny, Kimo, dzięki twej punktualności wyjechaliśmy o naznaczonej godzinie.

— Spełniłem rozkaz księżniczki.

— Niepodobnaby spełnić go dokładniej, odrzekłem, nie zniechęcając się krótką odpowiedzią. Kiedyż staniemy u stóp wulkanu?

— Jutro po południu, a najpóźniej wieczorem.

— Gdzie dziś będziemy obozować?

— W Olaa; są tam świeże pastwiska i dobra woda. Kanakowie w mgnieniu oka urządzą jednonocne schronienie; w tej porze znajdziemy tam mnóstwo dzikich gęsi, a prócz tego mamy z sobą znaczne zapasy żywności.

— Widzę że pamiętałeś o wszystkiem i że z tobą bezpiecznie można puścić się w podróż. Czy często przebywałeś tę drogę?

— Bardzo często jest o niej wzmianka w naszych legendach.

— Księżniczka Janina mówiła mi że znasz różne stare pieśni; najwięcej zajmuje mnie pieśń Kiany, czy i tę umiesz?

— Tak; onegdaj słyszałem jak księżniczka wam ją wypowiedziała.

— Więc musiałeś także słyszeć co odpowiedziała na moje pytanie?

— Tak, odpowiedział bez wahania. Księżniczka powiedziała panu że ja jeden znam przepowiednię Kiany, jest to prawda, równie jak i to że dochowam tajemnicy. Przysiągłem matce mojej, jak ona kiedyś swojej, że nie zdradzę tej tajemnicy, tak więc nikt nie pozna przepowiedni Kiany aż gdy się spełni... Kilka chwil zachował milczenie, potem rzekł: Wiem że pan jesteś przyjacielem mego plemienia, że bronisz naszych praw i niepodległości, i wdzięczny ci za to jestem. Może już lada dzień spełni się przepowiednia Kiany; jeśli dożyję dnia tego; powiem ją panu, lecz pierwej nie zdradzę tajemnicy.

Spojrzałem na niego zadziwiony; pewność z jaką mówił uczyniła na mnie żywe wrażenie.

— Dobrze, szanuję twoje milczenie, ale nie zapomnij przyrzeczenia.

— Nie zapomnę, odrzekł, powiem panu co wiedzieć pragniesz, bodajby jednak nie nadeszła chwila spełnienia mego przyrzeczenia.

Zwolniłem biegu i pozostając za oddziałem złączyłem się z Janiną i z Frankiem.

Rozmawiali wesoło oboje młodzi, on zakochany; używali teraźniejszości nie troszcząc się o stare dzieje. Sądząc z wyrazu twarzy Franka, widać nie tracił czasu; z twarzy Janiny jaśniało spokojne zadowolenie. Czy była to zadowolniona zalotność, czy też coś więcej, nie umiałbym na to odpowiedzieć.

— Cóż udało się panu oswoić Kima? zapytała; widziałam żeś dość ożywioną prowadził z nim rozmowę.

— Udało mi się dowiedzieć że się nic nie dowiem, wyjąwszy jeśli nastąpią jakieś wypadki czy okoliczności, których nie powinienem pragnąć.

— Jasne jak wyrocznia; cóż to ma znaczyć?

Opowiedziałem moją rozmowę z Kimo; Janina słuchała uważnie, Frank z uśmiechem. Cóż pani myślisz o tem? zapytałem skończywszy.

— Nie wiem co o tem sądzić, ale wierzaj mi pan, nie badaj więcej. Może jestem trochę przesądna,

ale ta tajemnica Kima zawsze dziwne na mnie robi wrażenie. Dawniej, powodowana kobiecą ciekawością, pragnęłam poznać tę przepowiednię, teraz nie tylko nie gniewam się ale wdzięczna jestem Kimowi za jego milczenie, i nigdy nie przychodzi mi ochota wypytywać go o to.

— A ty, Franku, co myślisz o tem?

— Ja? nie koniecznie dowierzam przepowiedniom krajowców. Nie podejrzywam dobrej wiary Kima, ale sądzę że zbyt wielką przywiązuje wagę do słów wypowiedzianych w przystępie gorączki, za których autentyczność nic nie poręcza po upływie tylu wieków. Któż wie czy przechodząc z pokolenia w pokolenie nie zostały zupełnie przekręcone?

Janina pokręciła głową.

— Mylisz się, Franku; tradycya ustna nigdy się nie zmienia, kanakowie przechowują ją z religijnem poszanowaniem; to też jestem przekonana że przepowiednia Kiany przechowała się niezmiennie i dotrwa tak, dopokąd żyć będzie aby jeden w prostej linii potomek tej co ją usłyszała.

— Więc jakże to wytłómaczyć że Vakea nie przekazał jej swoim potomkom?

— W chwili jego śmierci, córka jego Malia, była jeszcze dzieckiem, nie mógł więc powierzać jej tajemnicy, a znów według naszych tradycyi od niego tylko mogła się jej dowiedzieć.

— Ależ Kimo mniema że przepowiednia spełni się niebawem.

— Zależy to od tego jak ją sobie tłomaczy, rzekł Frank. Podobne przepowiednie zazwyczaj nie zalecają się jasnością; ale nie troszczmy się o tajemnicę która nas nic nie obchodzi, a na Janinie przykre robi wrażenie.

Frank miał słuszność, gdyż towarzyszka nasza widocznie posmutniała; widząc to żałowałem niewczesnej mojej ciekawości. Jednakże nerwowe rozdrażnienie Janiny uspokoiło się na widok przepysznego krajobrazu, jaki roztoczył się przed naszemi oczami, gdy wyjeżdżając z lasu stanęliśmy na pochyłości góry. Kimo zbliżył się do nas, i wskazując wysuniętą nieco gromadę drzew, rzekł:

— Zatrzymamy się tu dla wypoczynku; o trzeciej w dalszą udamy się drogę i przed zapadnięciem nocy staniemy w Olaa.

Kanacy zajęli się przyrządzeniem naszego posiłku, a ja tymczasem rozpatrywałem się po okolicy. Kimo wskazał mi miejsce gdzie przed trzydziestu laty stoczoną była potyczka w której zginął jego ojciec. Z jego mowy i z opowiadań ojca Franka, odtwarzałem sobie w myśli te zacięte walki w których przeciwnicy uderzali na siebie osobiście, i nagie ciała ścierały się z sobą w zaciętych bójkach. Miejscowość doskonale była wybrana. Wyjąwszy kępy drzew, w cieniu których rozłożono nasze namioty, nie było na całej równinie ani drzewka ani krzaku nawet: grunt był równy jak kobierzec, pokryty piękną trawą przetykaną drobnem kwieciem. Tu pod jasnemi promieniami słońca oświetlającemi całą dolinę, żaden czyn męztwa i odwagi, żadna oznaka słabości lub tchórzostwa, nie mogły się ukryć przed okiem walczących. Walka była straszną i zaciętą; rozpoczęta o świcie, trwała do późnej nocy. Zwycięzki Kamehameha, patrzył na śmierć ostatnich swoich przeciwników; kilku zaledwie, pokrytych ciężkiemi ranami, powlokło się na skraj lasu, uchodząc z pola bitwy, lecz zdradziły ich jęki boleści; odszukano ich i dobito. Dzikie psy pożarły porzucone ciała; później, przyroda osłoniła swym zielonym płaszczem bezkształtne szczątki, i nogi moje stąpały po kawałkach kości, zbielałych od słońca i deszczu.

Wróciłem do towarzyszy podróży. Pod cieniem rozłożystych drzew, kanakowie rozesłali jaskrawe maty, układając z nich dla Janiny rodzaj sofki; tuż obok, prawie u nóg jej, siedział Frank wsparty na łokciu, wpatrując się w ukochaną. W pewnej odległości kanakowie otoczyli ich kołem i rozmawiali z sobą po cichu. Konie nasze, rozsiodłane, pasły się w pobliżu na łące pod dozorem vakerosów. Posiłek dla nas zastawiono osobno; służba jadła w oddali.

— Widzę że podzielasz pan moje upodobanie w takich wycieczkach, rzekła do mnie Janina.

— Najzupełniej, szczególniej w tak miłem towarzystwie. A ty Franku?

— O ja lubiłem je od lat najmłodszych. Czy pamiętasz, Janino, nasze wycieczki do lasu, gdyśmy jeszcze oboje byli dziećmi, jak obawiałaś się gdyśmy przedarli się w ciemne gęstwiny, jaka to była radość gdyśmy spotkali jaki kwiat nieznany i jak śliczne wiliśmy wieńce?

— Pamiętam to doskonale i nigdy nie zapomnę jak dobrym i uprzedzającym byłeś dla mnie; byłam bardzo kapryśna i wymagająca, a jednak nie zniecierpliwiłeś się nigdy.

— Tak miło mi było spełniać twoje zachciewki, odgadywać życzenia!... Jakże to często żałuję tych szczęśliwych czasów.

— Chyba już nie teraz, bo czasy te wróciły. Wszyscy mi zarzucają że nie bardzo się odmieniłam, że jestem taką prawie jak byłam wtedy. Nie bardzo jeszcze umiem zrozumieć i przyswoić sobie wszystkich wymagań cywilizacyi co nas tak nagle zaskoczyła; postępuje ona zbyt pośpiesznie, nie mogę za nią zdążyć. Byłam dzieckiem gdy zaczęto mnie uczyć waszej religii; pojęłam ją prędko i wydała mi się piękną i wzniosłą... później jednak zastanowiło mnie że ci sami biali co nam głosili boskie jej zasady, co je znali przed nami i mówili że są naszymi braćmi, zagarniali nasze ziemie, upijali się gorzałką, wygrażali naszym wodzom i źle się obchodzili z krajowcami. Widziałam jak marynarze europejscy opanowali nasze miasto mordowali niewinnych kanaków i nie zważając na prośby i napomnienia swoich księży, szerzyli po ulicach pijaństwo i gwałty. Mówiono mi wprawdzie, i wierzę temu najzupełniej, że nie można jednoczyć zasad jakie nam wykładają księża z postępowaniem innych białych, mimo to wszystko to razi nas i drażni. Co do mnie, lubię żyć na uboczu; dziwią się temu i naganiają mi to upodobanie, ale jestem potomką Kamehameha, a wiecie że imię to znaczy: samotnik.

Kimo przerwał naszą rozmowę; przyszedł oznajmić że czas już w dalszą puścić się drogę. Wierzchowce czekały osiodłane, wyruszyliśmy i przed zapadnięciem nocy, stanęliśmy w Olaa.

Vakerosi uprzedzili nas i na prędce wznieśli dwa szałasy z gałęzi, jeden dla Janiny i jej kobiet, drugi dla nas. Kimo czynny i milczący jak zwykle, zainstalował nas bardzo prędko.

Wieczorem wyszliśmy zwiedzić okolice naszego obozowiska, z początku szedłem razem z Frankiem i z Janiną, potem odłączyłem się nieznacznie zostawiając ich samych. Rozmawiali o swoich dziecinnych latach, jakże pragnąłem aby ten węzeł łączący ich przeszłość, zamienił się w przyszłości w słodszy i ściślejszy! Wrócili niedługo: Janina przeszła do swego szałasu, zostałem sam z Frankiem.

— No, jakże, jesteś szczęśliwy? zapytałem.

— Jestem więcej zakochany, ale nie mogę powiedzieć że szczęśliwy. Sam nie wiem co myśleć; niekiedy zdaje mi się że Janina mnie rozumie, ale rzadkie to chwile i zaraz przybiera dumną minę i zaczyna mówić o rzeczach obojętnych. Zdaje się umyślnie stawia między nami zaporę której przekroczyć nie śmiem; widzę jak wysoko ceni swoją niezależność.

— Bo nie znalazła jeszcze człowieka któryby umiał natchnąć ją chęcią wyrzeczenia się jej dla niego, ale zdaje mi się że ty właśnie nim będziesz. Do ciebie odnoszą się jej wspomnienia z lat dziecinnych, ty pierwszy zajmowałeś jej dziewiczą wyobraźnię — a od wyobraźni do serca droga jest bliższa niż mniemasz.

— Daj Boże! abyś miał słuszność; przyznaję że drżę miotany niepokojem, gdyż czuję że zbliża się chwila stanowcza.

— I ja tak sądzę; liczę na to że podróż ta przyśpieszy rozwiązanie, staraj się tylko korzystać ze sposobności i wyznaj jej miłość twoją równie gorąco jak ją czujesz.

— Za kilka dni los mój się rozstrzygnie.

Tak rozmawiając zbliżyliśmy się do naszego obozowiska. Dwóch kanaków, zmieniających się co godzina, stało na straży. Wsparci o pnie drzewa, nieruchomi jak kariatidy, gwizdali tylko lekko od czasu do czasu, aby przywołać zanadto odbiegające konie. Towarzysze ich spali na trawie, głowy oparli na siodłach i tak leżąc do koła szałasów, żywy w koło nich tworzyli szaniec. Już miałem go przestąpić, gdy nagle dziwnego doznałem wrażenia. Zdawało mi się że grunt z pod nóg mi się usuwał i kołysze się od wschodu na zachód. Poznałem że to lekkie trzęsienie ziemi; wypadki takie tak często zdarzają się na wyspie Hawaj, że prawie nie zwracają na nie uwagi. Wysokie gałęzie drzew poruszyły się i uderzyły o siebie, jakby silnym popchnięte wichrem i w jednej chwili wszystko się uspokoiło. Ludzie śpiący nie przebudzili się nawet, a strażnicy nasi uśmiechnęli się w milczeniu. Zwierzęta tylko objawiły pewną niespokojność; wyprężyły nogi jakby chcąc pewniej utrzymać się na nich, parskały głośno, trwożnem spojrzeniem badając horyzont.

— Jesteśmy tu w państwie bogini wulkanów, Pele, objawia nam swoją obecność, rzekł z uśmiechem Frank; dobranoc, do jutra.

W kilka minut później wszyscyśmy spali, z wyjątkiem straży zmieniającej się co godzina, tak cicho iż nie budzili nikogo.

Nazajutrz, obudziwszy się, zapomniałem zupełnie o owem lekkiem wstrząśnieniu. Frank wstał już i rozmawiał z Kimo; skinął na mnie abym wstawał; Janina i kobiety jeszcze spały.

— Cóż się stało; Franku? Zdajesz się zaniepokojony.

— Rzeczywiście, chociaż dotąd nie ma nic tak bardzo przerażającego. Kimo mówił mi że wstrząśnienie jakie uczuliśmy wczoraj wieczorem, dwa razy powtórzyło się nad ranem.

— Nie czułem tego.

— I ja także, ale Kimo ktory wstał przed świtem, uważał że ostatnie wstrząśnienie nie było horyzontalne ale z dołu do góry.

— Więc cóż?

— Takie wstrząśnienia są rzadkie i zapowiadają blizki wybuch wulkanu.

— Nie będzie to ani pierwszy ani ostatni, a cóż za wspaniały będziem mieli widok!

— Tak myślisz? rzeczywiście wybuch Kilanea piękny tworzy obraz; patrzyłem na to kilka razy ale gdzie ten nastąpi?

— No z wulkanu, jak zwykle.

— Nie zdaje się; jeśli wstrząśnienia są horyzontalne, wybuch następuje z wulkanu, i w takim razie moglibyśmy bez narażenia się na niebezpieczeństwo, w dalszą puścić się drogę, a rozłożywszy namioty w pobliżu wulkanu, patrzylibyśmy jak lawa wylewa

i toczy się zwykłą drogą, nie cienkiemi strumykami ale jak ognista rzeka. Ale to wstrząśnienie i podnoszenie się gruntu zapowiada wybuch gwałtowniejszy, mogący nastąpić na innym punkcie. Jak i gdzie? Któż to wiedzieć może, kto wie czy nie zagraża nam straszne niebezpieczeństwo?...

— A czy tu zostając, możemy go uniknąć?

— Nie.

— Cóż radzi Kimo?

— Aby jak najśpiesniej dążyć do wulkanu; według niego tam będziemy bezpieczniejsi.

— Może i ma słuszność; w każdym razie nie pozostaje nam nic jak spuścić się na jego i twoje doświadczenie.

Kimo skinął na kanaków: spędzili konie i przyśpieszono śniadanie. Janina przyszła zapytując co znaczy ten pośpiech; dowiedziawszy się o przyczynie, nie przestraszyła się wcale, nieraz już była świadkiem wybuchu wulkanicznego tak często zdarzającego się na wyspie Hawaj. Frank nie mówił o swoich i Kima przewidywaniach, sądziła więc że dla tego tylko pragniemy jak najprędzej przybyć do Kilanea, aby widzieć spodziewany wybuch.

(d. c. n.)

Korespondencya ze Lwowa.

(Dokończenie).

Nie możemy w ten sam sposób traktować dalszych działów wystawy, bo korespondencya zaczyna przekraczać nawet nadzwyczajne ramy. A trudno zaprawdę pomijać tyle uwag pomyślnych, jakie każdy inny dział nasuwa znawcom stosunków krajowych. Weźmy np. wyroby rękodzielników lwowskich, którzy zdziwili samych lwowian przedmiotami wystawionemi. Szczególnie stolarskie wyroby ze Lwowa i jednego przemysłowca krakowskiego są tak okazałe, tak gustowne i tak porządnie zrobione, że zwątpićby trzeba o wielkim zmyśle przedsiębiorczym i ekonomicznym kraju, jeżeliby już w niedalekiej przeszłości nie zostały zupełnie wyrugowane meble sprowadzane z po za granic kraju. Wyroby wiedeńskie już teraz coraz słabszy mają odbyt, a w miarę jak pokup zyskują wyroby krajowe, spadają ich ceny, które dotąd znacznie się przyczyniały do handlowego powodzenia znacznie tańszych wyrobów obcych. Jeżeli wystawa stolarzy lwowskich zdziwiła jak powiedzieliśmy nawet lwowianina, to wystawa powozów, wózków i sani musiała być dla niego formalnem odkryciem! Ze Lwowa, Jamłowia i Stanisławowa kilku majstrów tak się przedstawiało na wystawie, że okazy ich wytrzymały zupełnie konkurencyę z stojącemi w pobliżu wystawy wyrobami szląskiemi i czeskiemi, których reputacya od tak dawna jest nietykalna. Jeden powóz lwowskiego pochodzenia wygląda tak elegancko, że gdyby nie napis wyrazisty na samym przodzie, mógłby śmiało uchodzić za wyrób renomowany fabryki zagranicznej. Ten zdumiewający postęp rękodzielników i przemysłowców nietylko stolicy lecz także mniejszych miast prowincyonalnych, nie jest skutkiem tak wyjątkowego poparcia, jakiego przemysł domowy włościan zewsząd doznał. Snać postęp utorowany przez ludzi dobrej woli i organa publiczne, w tym jednym kierunku własną siłą rozszerza swój zakres na inne działy przemysłu a jeden przykład dobry pociąga za sobą innych przemysłowców.

Wystawa szkolna także w głównym pawilonie urządzona, zasługuje na uwagę nie wartością samych przedmiotów wystawowych, gdyż są to zwyczajne okazy pracy szkolnej. Znaczenie wystawy szkolnej na tem polega, że daje nam wyobrażenie o znakomitym rozwoju jakie oświata publiczna zrobiła w ostatnich czasach w Galicyi, dzięki znacznym funduszom na ten cel przez sejm uchwalonych i dzięki rozumnej energii, jaką przy użyciu tych funduszów okazał ś. p. hr. Gołuchowski. Przed laty pięciu wystawa krajowa nie posiadałaby i w połowie tak bogatego działu szkolnego z tej prostej przyczyny, że wtedy liczba szkół ludowych była tylko częścią dzisiejszej liczby a ówczesne urządzenie szkół różniło się zupełnie od dzisiejszego. Uznaje to każdy zwiedzający wystawę i dla tego chętnie zatrzymuje się przed próbami pisma, zadaniami i rysunkami szkolnemi, chociaż jak powiedzieliśmy, bezwzględnie rzecz biorąc, przedmioty te nie powinnyby zajmować tak znacznej przestrzeni w pawilonie.

Dokoła pawilonu głównego wznosi się cały szereg małych budynków, między któremi kilka wcale kształtnych jak np. pawilon miasta Drohobysza, pawilon ks. Adama Sapiehy, pawilon Namiestnika hr. Alfreda Potockiego, t. z. pawilon balneologiczny z wystawą krajowych zakładów zdrojowych, pawilon przemysłu naftowego i t. d. Pawilon arcyksięcia Albrechta, który posiada rozległe dobra w Galicyi, Żywiec, przytyka do pawilonu głównego i wygląda prawdziwie imponująco nie z powodu zewnętrznej okazałości, dla której żaden z wystawców nie wyjmując nawet właścicieli wielkich posiadłości nie łożył kosztów, lecz bogactwem wystawionych przedmiotów. Dobra i gospodarstwo arcyksięcia Albrechta są tak świetnie reprezentowane, że nietylko krajowi lecz zagraniczni gospodarze wzór ztąd brać mogą. Huty i fabryki arcyksięcia Albrechta słyną w sąsiednich krajach, gdzie wyroby ich mają wielki pokup, a ziemiopłody z jego posiadłości wskazują, do jakich pomyślnych rezultatów wiedzie gospodarstwo racyonalne nie obliczone na wydobycie jednorazowego dochodu znacznego, lecz na zaprowadzenie stałych, wysokich dochodów. Pawilon ten i pawilony ks. Sapiehy i hr. Potockiego stanowią jedną całość, uzupełniają się nawzajem i dają razem wzór jak powinno wyglądać gospodarstwo magnatów. Szkoda że między pawilonami właścicieli wielkich posiadłości nie ma pawilonów osobnych dla szkół rolniczych i dla dóbr fundacyi hr. Skarbka, prowadzącej gospodarstwo w ogromnych rozmiarach. Szkoła rolnicza w Dublanach wystawiła trochę zboża a zarząd fundacyi hr. Skarbka umieścił gdzieś w zakątku kilka okazów drzewa i na tem koniec. Jeżeli zganiono obywatelstwu zachodniej Galicyi usunięcie się od wystawy, to na tem większą naganę zasługuje ta obojętność zakładów, powołanych w pierwszym rzędzie do dawania dobrego przykładu.

Zaledwie część wystawy objęliśmy powyższym przeglądem i niepodobna kusić się o objęcie całości. Trzebaby bowiem w dalszym ciągu wchodzić w szczegóły rolnicze i w ogóle gospodarskie do czego nie jesteśmy powołani. Należy to do szczegółowych opisów i sprawozdań. Zresztą nie wiemy czy każdego czytelnika obchodzić to może, jak licznie był reprezentowany inwentarz żywy, jakiej rasy konie lub krowy najlepiej prezentowały się na wystawie, który gatunek owiec największe zyskał uznanie i t. d. Galicya jest krajem rolniczym, więc rzecz naturalna, że wystawa żywego inwentarza stanowiła ważny dział i przedstawiała zwiedzającym wystawę, zwłaszcza obcym, wiele rzeczy uwagi godnych.

Równocześnie z wystawą odbywały się różne zjazdy, kongresy i konferencye na tematy, zostające w związku z celami wystawy. Mieliśmy kongres rolników, producentów nafty, wystawców z działu przemysłowego i t. d. Wiele ważnych i pilnych kwestyi weszło w program tych kongresów, niejedna z tych kwestyi została załatwiona w sposób pomyślny lub przynajmniej sprowadzona na właściwe tory. Szczególnie zwrócono uwagę na przemysł domowy, mianowicie na ułatwienie, rozszerzenie i uregulowanie odbytu dla jego wyrobów. Wszyscy czują i uznają, że przemysł domowy w trzech latach ostatnich tak znacznie podniesiony i tak świetnie na wystawie reprezentowany, stać się powinien w niedalekiej przyszłości ważnem źródłem dobrobytu. Przemysł naftowy nastręczył kongresowi producentów sposobność do wykazania wszystkich niedogodności, które tamują jego rozwój i pozwalają nafcie amerykańskiej wciskać się tam, gdzie nafta galicyjska już z natury rzeczy powinnaby posiadać wyłączność odbytu.

Dochód z wystawy przewyższył kilka razy preliminowaną kwotę, gdyż udział publiczności był bajecznie wielki. W dnie słotne, pochmurne i chłodne zwiedzało wystawę najmniej 1000 osób, w czasie pogody liczba zwiedzających wynosiła 4—8000 a w niedziele 20—30000! Nieraz ścisk na placu wystawy przypomniał wystawę wiedeńską. Nadwyżki dochodów zamierza komitet wystawowy przeznaczyć na cele pożyteczne, mianowicie na podniesienie przemysłu domowego.

B. Ł.

Przegląd literacki.

W kwestyi zaradzenia żebractwu, próżniactwu i ubóstwu z broszury p. Justyna Wojewódzkiego.

W pracy p. Justyna Wojewódzkiego dotyczącej domu zarobkowego, o czem w poprzednim mówiliśmy numerze, przedstawione są zaradcze środki w kwestyi w tytule wymienionej.

Dla ubogich niezdolnych do pracy, powiada Szanowny Autor, wypadałoby bezzwłocznie, o ile gdzie nie istnieją, urządzić domy schronienia starców i kalek po wszystkich parafiach lub gminach, przeznaczając na ten cel po cztery morgi z gruntów poklasztornych i po duchownych lub też innych skarbowych: nadto wydobyć liczne dawniejsze dziś zawieruszone fundusze szpitali parafialnych czyli domów schronienia, zbierać nowe ofiary na tenże cel, a przytem w ogólności skierować teraźniejszy samorząd gmin do bardziej czynnego niż dotąd zajęcia się sprawą ubogich.

Rady to bardzo zbawienne, gminy jako obdarzone samorządem mogą skutecznie działać w kwestyi tak ich bardzo obchodzącej, tylko to zawieruszenie funduszów szpitali parafialnych czy też domów schronienia, nie może stanowić zachęty do składania nowych ofiar na tenże sam cel przeznaczonych. Należałoby więc wprzód wydobyć owe zawieruszone fundusze, a później dopiero odwołać się do ofiarności publicznej.

Dalej powiada Autor; szczerze przystąpić do założenia środkami rządowemi i gminnemi, przy pomocy pojedynczych dobroczyńców, szpitali po wszystkich miastach powiatowych, których w trzeciej części zupełnie brakuje, i urządzenia przytułków i ochron ubogich dzieci, bardzo mało w kraju naszym znajdujących się.

I to środki bardzo zbawienne, ale kto zajmie się wykonaniem ich a szczególniej wydobywaniem owych zawieruszonych funduszów?

Przeciw wysyłaniu ubogich a przede wszystkiem żebraków do gmin właściwych pod opiekę i ba-

czność przepisami wskazaną, nie mamy nic do nadmienienia, ale oddawanie ubogich niedołężnych do utrzymania krewnym, byłoby wielką niesprawiedliwością gdyby się stało obowiązującem. Zresztą trudno oddzielić ubogich pod opiekę gmin kwalifikujących się od ubogich winnych być utrzymywanemi przez krewnych.

Któryż człowiek pozbawiony jest na świecie wszelkiego krewieństwa, jeżeli zaś znajdują się tacy to są wyjątki nie mogące stanowić zasady do ustanowienia obowiązujących przepisów. Ubodzy zatem staliby się dla wielu podwójnym ciężarem, bo zmuszaliby ich niejako do ofiary i dla własnych biednych krewnych i dla biedaków całej gminy. To za wiele; organizacya dobroczynna właśnie ma główne na celu, aby zbiorowemi siłami biedę miejscową ratować, aby pojedynczych strzedz od ciężaru mogącego nie jednego zrujnować.

Dalej radzi Autor zakładanie dla włóczęgów i ubogich kolonii rolniczo roboczych, a to głównie przy pomocy obywateli zamożniejszych w kraju. Szkoda że myśl ta nie została obszerniej rozwiniętą, szczególniej że nie wykazano, w jaki sposób mają być urządzone, aby ułatwiając zarobkowanie biednym, przynosiły korzyść odpowiednią Zakładowi. Trudno bowiem przypuścić, aby w nich kazano orać, kopać, rąbać i t. p. jedynie dla tego żeby ubogi miał zarobek i żeby do utrzymania kolonii potrzeba było dopłacać. Kolonie podobne winny się same utrzymywać i przynosić korzyść, a tak prowadzone muszą robociznę stałą mieć uorganizowaną i tylko w pewnych chwilach potrzebować większej liczby robotników. Cóż więc dyrektor takiej kolonii zrobi, gdy np. na zimę zbiegnie się do niego armia ubogich żądająca pracy której nie będzie, a w lecie brak okaże się robotnika?

Kolonie rolniczo robocze bardzo są zbliżone do domów zarobkowych: tu i tam ma być ubogim dawana praca, idzie tylko o zużytkowanie sił tych w ten sposób, aby ubogi zarabiał, a zakład nic nie tracił, a nawet zyskiwał, bo to jest koniecznem do jego utrzymania. Trudność to niezmierna a nawet nie do usunięcia.

Są to jednak środki mniej więcej działające na skutki złego ale nie na jego przyczynę. Przymus do pracy, utrudzenie żebractwa, prześladowanie próżniaków, może wiele zdziałać dobrego, ale nie zapobiegnie powstawaniu ciągłemu tej plagi społecznej. Żebraków i próżniaków corocznie przybywa, a i złodziei i rabusiów nie jest coraz mniej ale coraz więcej. Próżniactwo jest także chorobą, jak pijaństwo i szulerstwo, z niego powstaje wszystko złe, jeżeli przeto nałogowym próżniakom utrudzi się żebranina, to kto wie, czy z żebraka nie stanie się zbrodniarzem. Należy przeto bronić się od powodzi złego, trzymać je w karbach jak rzekę tamami ścieśnioną, ale jednocześnie działać na główny powód złego, którym nie jest nic innego jak... brak oświaty. Statystyczne wykazy najwymowniejsze dają tego świadectwo, wykazując zawsze największą liczbę przestępców w ludziach nie umiejących ani czytać ani pisać. Miejscowości także zaniedbane co do szkółek elementarnych, najwięcej są zawsze zdemoralizowane i nic ich z tego upadku nie podnosi, żadne kary, obostrzenia, instytucye filantropijne, stowarzyszenia, skrzętne ściganie winnych, tylko jedynie wpływ oświaty przez szkółki szerzonej. To działanie książki jest tak wielkie, że nawet zakładanie biblioteczek po gminach we Francyi, tam gdzie ich nie było, już po kilku latach okazało się zbawiennem w podniesieniu ogólnej moralności. Szanowny Autor w broszurze swej nie pominął tak ważnej rzeczy i zaleca, wykształcenie ludowe moralne, połączone w szkółkach wiejskich z wykładem pierwszych zasad gospodarstwa wiejskiego, oraz rzemiosł i techniki gospodarczej.

Oby to zalecenie jak najprędzej wykonanem zostało, oby nie było u nas wioski bez szkółki a jednego człowieka bez książki w ręku. Elementarz to przednia straż idąca przed wielkim mocarzem zwącym się *oświatą*, którego potędze nic nie wyrówna. Nie lękając się żadnej przemocy ziemskiej, ludzi podnosi do właściwej godności, rozwija zamiłowanie dobrego, obrzydzenie wszelkiej szkarady i rozumne pojęcie ważności pracy. Starając się o tę tak wszechwładną oświatę ogólną, nie wyższą, ale elementarną, będziemy cały gmach społecznego dobra budować na granitowym fundamencie, którym złe wpływy mogą zatrząść, ale go w gruz nigdy nie rozsypią.

Że jednak działania zbawienne oświaty w swych skutkach nie zaraz następują, a tu trzeba koniecznie oddziaływać przeciw żebractwu i próżniactwu, aby w końcu nie zdławiło całej społeczności, radzimy przeto w myśl broszury p. Justyna Wojewódzkiego, urządzić dla szukających pracy Bióra stręczeń we wszystkich miastach większych, a choćby i najmniejszych, oddać je pod jeden główny zarząd; założyć w Warszawie dom zarobkowy ale z rodzajem fabrykacyi z góry oznaczonym i z zapewnionym pewnym odbytem dla wyrobów tam dokonywanych; wreszcie pracownikom upadłym czy skutkiem choroby czy nieszczęśliwych wypadków losu, za poręczeniem dwóch bliżej znajomych ich poczciwości i pracowitości, udzielać pożyczki procentowe ze zwrotem na raty miesięczne lub tygodniowe na rok lub dwa rozłożone. O charakterze zaś tak głównego interesanta jak i poręczycieli, bardzo łatwo dowiedzieć się, a choćby i to nie zawsze ustrzegło od straty, to procenta od innych pożyczek wyrównałyby szczerby w kapitale zakładowym ponoszone. Trzebaby tylko zarząd tej kasy pożyczkowej oddać w ręce niezmiernie zacne, energiczne i rozumne. Oszuści w różnych postaciach, nietylko w łachmanach ale i w lakierkach i glansowanych rękawiczkach kręcić się przy niej będą. Przy samorządzie miast, zarząd wszelkich instytucyi z zapisu Staszica powstałych z wyborów obywatelskich urządzony, pod kontrolą oddzielnego komitetu pozostawać winien. Czuwać więc będzie opinia publiczna. Rozbudzona do czynności, staje się potęgą przed którą i najhardziejszy głowę kornie schyli. Na zachodzie nie małą odgrywa rolę: Szwajcarya, w pośród nagich skał i przepaści zrobiła krainę dobrobytu i szczęśliwości obcej ludom wśród łanów najurodzajniejszych zamieszkałym; Stany Zjednoczone Ameryki podniosła do potęgi przed którą nawet Europa z milionowemi swemi armiami nader grzecznie się zachowuje, dlaczegoż więc u nas nie miałaby być siłą pędzącą każdego do spełniania obowiązków na nim spoczywających, z gorliwością odpowiednią do ich przeznaczenia?

Co do żebractwa, to przede wszystkiem urządzić wszędzie szkółki, domy schronienia dla starców i ochronki dla dzieci, biura dla poszukujących pracy. a w gminach komitety czuwające nad wewnętrznym ich rozwojem. Wówczas gdy to spełnionem zostanie, stanowczo ulicznego żebractwa zabronić, żebraków niedołężnych pomieścić w domach schronień, a próżniaków odesłać do właściwych gmin i zmusić do pracy przy drogach, mostach i innych podobnych zajęciach dobro gminy mających na celu.

Z pod tego ekonomicznego działania nie należy usunąć więźniów puszczonych na wolność po odcierpieniu kary, a nawet wypadałoby wziąść ich pod szczególną opiekę nie tylko zapewniającą im zarobek ale i czuwającą nad ich umoralnieniem. Dotąd nie było tego; więzień uwolniony staje się paryą społeczną potępioną przez opinię publiczną i idąc między ludzi ze świadectwem swego przestępstwa, ponosząc nową srozszą jeszcze karę ogólnej wzgardy, znajdując każdą godziwą pracę usuniętą przed sobą, cóż ma innego zrobić jeżeli nie zostać znowu złodziejem, rabusiem a nawet mordercą? Rozpacz złym jest doradzcą, a społeczność źle postępuje we własnym interesie tworząc zrozpaczonych. Gdybyśmy mogli policzyć szkody jakie z tego tytułu ponosi, poznalibyśmy dopiero jak drogo opłaca skutki ze swego zapomnienia wynikające. Część tej opłaty na opiekę uwolnionych więźniów przeznaczona, mogłaby ją niemal zupełnie od tych strat uwolnić, a i bezpieczeństwo publiczne w domu i za domem, spokój, pewność posiadanego mienia a nieraz i życia, godne także niemałej ofiary. Otóż to są główne uwagi pobieżne przedstawione jakie się nam nasunęły przy rozważaniu broszury p. Justyna Wojewódzkiego. W kwestyi tak ważnej a tak dawno podnoszonej bez żadnego skutku, godzi się każdemu wystąpić ze swojem zdaniem chociażby sprzecznem z innemi, zwłaszcza gdy z woli Rządu samorząd gmin tak upragniony wszedł już w wykonanie, i gdy idzie o rozporządzenie znacznym funduszem z zapisu Staszica pozostałym. Raz przecie należy go w ruch odpowiedni wprowadzić, a im nada mu się praktyczniejszy kierunek, tym osiągnie się większą pewność właściwego jej zużytkowania. Niechże zatem i inni pospieszą z wynurzeniem swojej opinii, przyjmiemy ją chętnie i ogłosimy w kolumnach swego pisma choćby przeciwną uwagom powyżej przedstawionym.

J. K. Gregorowicz.

Korespondencya z Paryża

o ubraniach zimowych.

12 Października 1877.

Mimo zewnętrznych i wewnętrznych niepokojów, świat mody swoim postępuje trybem. Pierwsze magazyny powystawiały wielką moc zimowych towarów; powiedzmy nawet, że rozmaitość w nich większa może niż w innych latach. Zwiedziliśmy pilnie magazyny *Luwru*, *Petit St. Thomas*, *Trois quartiers* i *Bon Marché*; oto główne przedmioty które zwróciły tam uwagę naszą.

Na suknie do wielkiego ubrania używane w tym roku materye ciężkie przerabiane w pasy lub deseń, jak *brokatella*, atlas damasceński, atlas w pasy *gros grin* lub aksamitne. Jako nowość pojawiły się też materye w pluszowe kwiaty na tle tegoż samego koloru. Materye to w ogólności dosyć kosztowne, ale też robią z nich tylko polki, spódnica zaś bywa z materyi gładkiej, garnirowana u dołu wolantem lub plisowanemi falbankami. W ogólności podpięcia polek, mniej sztuczne jak bywały w ostatnich czasach; toż samo powiemy co do *gabryelli*, które także powszechnie noszone. Uważaliśmy piękne gabryelle z czarnego aksamitu, powłóczyste w tyle, bez żadnego podpięcia, przybrane były pasmanteryą, lub tiulem naszywanym lawą albo paciorezkami ze stali. Tiul ten szeroki na ćwierć łokcia, zakończony w zęby z obu stron, daje się gładko na staniku, mankietach i na przodzie spódnicy. Niekiedy paciorki stalowe mieszane bywają z miedzianemi i lawowemi, tworząc deseń lub drobne paseczki. Ta-

kich pasmanteryi używają zarówno do przybrania kostiumów i okrywek.

Kostiumy do wyjścia na ulicę, składają się zwykle z długiej spódnicy z jednym wolantem bądź marszczonym, bądź plisowanym, na to idzie krótsza spódnica zakończona szlakiem przerabianym, w tychże samych co suknia odcieniach, podpięta z obu stron, w miejscu gdzie są kieszenie. Dopełnia kostiumu długi na pół obcisły paletocik, zapięty na jeden lub dwa rzędy guzików, z kieszonkami po bokach i kołnierzem najczęściej długim, na krzyż założonym, sięgającym do stanu. Tu gdzie się kończy kołnierz, dana bywa kokarda z gładkiej wstążki z długiemi końcami w odpowiednim kolorze. Niekiedy paletocik jest zupełnie obcisły; w takim razie przepasują go paskiem. Zwrócił uwagę naszą bardzo skromny ale ładny kostium który tu opiszemy. Był on z wigoniu koloru szarego. Jedyną ozdobę jego stanowiły grube wypustki z materyi ciemno-brązowej. Paletocik przeszywany cały w odstępach takiemiż wypustkami, spinał się na ciemne drewniane guziki. W stanie obciśnięty był paskiem brązowym z drewnianą klamerką. Brązowa jedwabna krawatka dopełniała ubrania.

Materyały na kostiumy wełniane są w ogólności bardzo ciepłe, gładkie, przerabiane w groszek lub prążki tegoż samego odcieniu. Do najmodniejszych kolorów należy popielaty, zwany *clair de lune*, nie różniący się prawie od stalowego. Modny też bardzo kolor ciemno-śliwkowy. Kolory ciemno-szafirowy, rozmarynowy i oliwkowy nie wyszły też jeszcze z użycia.

Pomiędzy kostiumami uważaliśmy bardzo ładne a nie kosztowne, z tkaniny ciepłej, gładkiej, okładane szeroką plisą z innej tkaniny w tymże samym kolorze, przerabianej w punkciki lub kreski białe jedwabne; niekiedy kreski te bywają w jasnem odcieniu odpowiedniem do sukni. Naprzykład wyrób oliwkowy, przerabiany odcieniem blado-zielonkowatem, brązowy odcieniem złotym, granatowy jasno błękitnym i t. p.

Przejdźmy teraz do zimowych okrywek. W tych panuje wielka rozmaitość. Zostawiamy na boku wielkie rotondy jedwabne i kaszmirowe podbite futrem, gdyż w tych nic się nie odmieniło; paletoty za to odznaczają się wytwornym smakiem. Dajemy tu szczegółowy ich opis.

Pierwszy paletot czarny aksamitny, średniej długości do kolan, wcięty cokolwiek do figury. Z przodu po jednej stronie dana brzegiem koronka Chantilly, szeroka na cztery cale; za nią idzie frendzla jedwabna puszysta, za frendzlą pasmanterya przerobiona stalą; kołnierz nagarnirowany trzema rzędami koronki; mankiety również naszyte koronką odwróconą od siebie; pośrodkiem przechodzi skręcona wstążka atłasowa, spięta na dość dużą kokardę. Na przodzie nie ma wcale guzików, ale dwie kokardy; jedna na zakończeniu kołnierza, druga znacznie poniżej. Dół paletotu obszyty szeroką frendzlą jedwabną ze stalowemi paciorkami. Dwie kieszonki z pasmanteryi zachodzą na tylne bryty, pomiędzy niemi wpięta wielka kokarda o długich końcach ozdobiona koronką.

Drugi paletot z czarnego kaszmiru indyjskiego; lekko watowany, podbity marseliną, ma u dołu czarną szenelową frendzlę — nad tem idzie pasmanterya z lawą szeroka na dwa palce. Mankiet zakończony u ręki odpowiednio. Po nad ramieniem dana też pasmanterya, przeciągnięta z obu stron długo i zakończona w ząb na połowie paletota. Kołnierz objęty pasmanteryą i frendzlą — wzdłuż pleców trzy rozety, takież same rozety naszyte w podłuż na kieszeniach.

Trzeci paletot z tkaniny czarnej *matelassé*, spięty na wielkie guziki szmuklerskie, objęty w koło grubą wypustką jedwabną. W tyle na rozcięciu dana klapka, spięta na trzy guziki. Mankiet prosty odwinięty przybrany kokardą z materyi *gros grin*, po bokach niewielkie kieszonki przepięte również kokardami. U szyi wielki kołnierz w kształcie chusteczki, ścięty na ramionach, zakończony w ząb, jak w tyle tak i z przodu, objęty grubą wypustką.

Czwarty paletot z czarnego jedwabnego repsu, obłożony tumakami na cztery palce, rękawy średniej szerokości z takiemże obłożeniem; kołnierz mały tumakowy, kieszonki po bokach objęte w górze futrem.

Dla starszych osób używane bardzo mantyle, zaokrąglone w tyle, z przodu zakończone długiemi dosyć końcami. Widzieliśmy taką mantylę czarną atłasową z koronką i pasmanteryą. Inna mniej strojna, czarna, z kaszmiru indyjskiego, lekko watowana, przybrana była ciężką jedwabną frendzlą.

Przejdźmy teraz do kapeluszy. W ostatnich latach nie było prawie różnicy między kapeluszem okrągłym a wiązanym, całą odmianę stanowiły tylko szarfy dodane po bokach. W tym roku różnica ich uderzająca, o ile kapelusze wiązane maleńkie mają rozmiary, o tyle znów okrągłe większe są nierównie od dawniejszych. Główka u nich dosyć płaska, ale rondo szeroko odwinięte, podniesione zwykle z jednej strony. Zowią je muszkieterkami, przypominają w rzeczy samej kapelusze wojskowe z XVII wieku.

Jak zwykle na zimę przygotowano czarnych kapeluszy; do teatru jednak bardzo używane będą i białe tak aksamitne, jak atłasowe i kastorowe. Po tych ogólnych uwagach dajemy szczegółowy opis kilku najpiękniejszych, które widzieliśmy w składach Luwru i w magazynie pani Jouffrin.

Kapelusik pod brodę, biały, aksamitny, bardzo mały. Rondko podbite aksamitem śliwkowym, podgarnirowane riuszą illuzyową. Nad rondem z jednej strony wielkie strusie pióro białe, z drugiej egretka koloru śliwkowego. Szarfy do wiązania białe atłasowe.

Drugi kapelusik czarny aksamitny, cały naszywany paciореczkami stalowemi. Od rondka na podpięcie spada lekka pasmanterya ze stalą. Szarfy do wiązania atłasowe w dwóch odcieniach popielatych *clair de lune*.

Trzeci kapelusz biały kastorowy, maleńki, wgięty nad czołem, à la Marie Stuart. Z wierzchu brzeg ronda haftowany szenelą koloru śliwkowego, spód podbity takimże aksamitem. Z wierzchu pióro strusie białe, kokardy z śliwkowego aksamitu. Końce do wiązania atłasowe śliwkowe.

Czwarty kapelusz aksamitny myrtowy. Przez całe rondko przeciągnięte strusie pióro do cieniu, od mirtowego do blado-zielonkowatego — podgarnirowanie z illuzyi, szarfy w dwóch odcieniach.

Piąty kapelusz czarny aksamitny, przybrany piórem rozmarynowem; z wierzchu rzucone tu i owdzie złote pszczoły, nad czołem riusza illuzyowa. Zamiast szarf do wiązania, podpięty od boku do boku czarny aksamitny warkocz ozdobiony złotemi pszczołami.

Z pomiędzy okrągłych muszkieterskich, zwrócił uwagę naszą kapelusz popielaty kastorowy *clair de lune*; rondo u niego szeroko odwinięte, podbite popielatym pluszem, z boku kokarda pluszowa; z wierzchu wielkie pióro.

Inny okrągły, koloru *Tourterelle*, podbity aksamitem śliwkowym takaż kokarda, z boku pióro koloru śliwkowego.

Inny znów czarny kastorowy, wyłożony czarnym pluszem, kokarda z pluszu i atłasu, z wierzchu długie strusie pióro.

Inny nakoniec biały kastorowy, rondo podszyte aksamitem śliwkowym, takaż z boku kokarda, pióro do tego białe.

W kołnierzykach tegorocznych nastąpiła zupełna zmiana.

Rozmiar ich wielki; łączą się tylko w górze, poniżej rozchodzą się na obie strony. U szyi dodana listewka na dwa palce, garnirowana koronką, lub haftowaną falbaneczką. Cały kołnierzyk z podwójnego płótna, obszyty też do koła koronką albo haftem. Niektóre z nich całe przeszywane w podłuż wstawkami. Używają do tego koronki *torchon*, lub walensienki. Z przodu idzie kokarda z wstążki. Widzieliśmy podobne kołnierzyki, i ze wstawek muślinowych i walensienowych, dawanych na przemiany. Mankiety do tego odpowiednie, ogarnirowane koronką, przystrojone kokardami.

Do codziennego ubrania, pod paletocik, używane jak dawniej małe kołnierzyki odwinięte po rogach, wiele z nich widać haftowanych.

Krawatki najmodniejsze atłasowe; na końcach wyrobiony bukiet pąków róży albo owoców, u dołu frendzla. Do ubrania, noszą blado-różowe, paliowe, białe, na ulicę mirtowe, śliwkowe, czarne i popielate *clair de lune*. Wiele też widzieć można białych muślinowych krawatek, ogarnirowanych koronką, uważaliśmy bardzo ładne, ścięte w końcach ukośno, całe ułożone w podłużne, zaprasowane zakładki, krawatka taka musi być szeroka przeszło na pół łokcia aby ją można zaprasować.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pa: Maryi S. w Warszawie. Powiastka dobrze wybrana i starannie przełożona, wkrótce zostanie pomieszczoną w Przyjacielu. O artykuły odpowiednie dla jednego lub drugiego pisma prosimy.

Pa: Natalii D. Wierszyki nadesłane nie są wcale potworkami jak je Autorka nazwała, ale utworami choć małemi, zasługującemi jednak na uznanie. Dowód tego składamy dzisiaj, wierszyk zaś „Pierścionek Marylki,“ pomieszczony zostanie w Przyjacielu. Redaktor cieszy się że rady jego i uwagi tak chętnie przyjęte zostały i ma nadzieję, że spełnione wydadzą jaknajlepsze następstwa.

Panu Aleksandrowi W. C. Za troskliwe zajęcie się Tygodnikiem wdzięczni jesteśmy niewypowiedzianie, ale życzenia spełnić nie możemy żadnym sposobem. Przy dość znacznej liczbie pism peryodycznych, niepodobnem jest uniknięcie wypadków o których w liście mowa. Rzecz sama przez się wkrótce usuniętą zostanie. Mamy już w tece gotową pracę Sygurda Wiśniowskiego, której druk wkrótce po Kianie rozpoczniemy.

Panu Kalikstowi Z. Przyjaciel Dzieci spełni o co jest proszony.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 6 (18) Октября 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 42.

(Dokończenie).

Model przykrycia ślicznie zdobiła frendzla 10—11 cent. szeroka, kręcona z wszystkich kolorów do haftu użytych, w końcach wiązana i rozczesywana, naszyta z brzegów przez szerokość szlaku, dalej idzie frendzla z siatkowym nagłówkiem w kolorze ciemno i jasno-bronzowym, przyszyta pod zębami; na tę frendzlę spadają sute kwasty podane w połowie naturalnej wielkości na ryc. 5 w N. 43, które robi się z włóczki niebieskiej w dwóch cieniach, a zawiesza na sznurkach bronzowych w zagłębieniu każdego zęba.

N. 10. Lambrekina do koszyczków, półeczek i t. p.

Lambrekinę wyszywa się kolorowemi kordonkami, na suknie w trzech cieniach lub 3 odmiennych kolorów; torsadka przykrywająca przyszycie zębów, spleciona jest z sutaszu lub plecionki jedwabnej w takich jak sukno kolorach.

N. 11. Szlak do portyer albo firanek. Haft dziergany do ryc. 40 w N. 43.

N. 12. Frendzla macramé do rolety na ryc. 40 w N. 43. Robota zadziergiwana.

Materyał: nici lub bawełna kordonkowa.

Ten rodzaj frendzli nie tylko do rolet lub firanek ale i do sukien lub okryć bardzo jest modny; stosownie do materyału frendzlę robi się z jedwabiu lub włóczki w odpowiednim kolorze.

Z nici tej co próbka grubości, na frendzlę 14 cent. długą, bierze się nitki podwójne, 24 cent. długie.

N. 13—14. Serwetka ochronna do mebli. Cerowanie na tiulu i robota szydełkowa.

Rycina 14 przedstawia w naturalnej wielkości jedną z siedmiu kwaterek, z których składa się serwetka. Najpierw każdą sześcio-kątną kwaterkę ceruje się na tiulu nićmi płaskiemi, obwodzi brzeg podwójną nicią i obrabia w koło o. ścisłemi szydełkiem zajmowanemi za wywodzenie. Potem daje się w koło słupki przedzielane 2 o. pow., słupki obrabia się ząbkami złożonemi z jednego o. ści., 2 o. pow., 1 słu., 3 o. pow., 1 słup., 2 o. pow. Przy obrabianiu tych ząbków spaja się kwaterki ze sobą; nakoniec obrabia się całą serwetkę szlaczkiem szydełkowym, wyraźnie wskazanym na ryc. 14.

N. 15. Rozetka z roboty szydełkowej, kratki i ząbków z tasiemki.

Grubo odznaczone kółko rozety obrabia się dwoma rzędami o. ści., robionych na grubej nitce bawełny; środek zapełnia maleńka gwiazdka szydełkowa i kratka koronkowa. Brzeg zewnętrzny obrabia się 3 razy kratką, za którą znów idą dwa rzędy o. ści. robionych na podłożonej bawełnie, nakoniec przyrabia się szydełkiem ząbki z tasiemeczki.

N. 16. Szlaczek do bielizny, fartuszków lub sukienek dziecinnych.

N. 17. Szlaczek haftowany na suknie.

N. 18—19. Szlaczki szydełkowe z mignardisse, do bielizny lub sukienek dziecinnych.

N. 20. Chustka trójkątna służąca do okrycia albo na głowę. Robota na drutach. Zobaczyć próbki na ryc. 36—38 w N. 43.

Model lekkiej i ciepłej chustki miał wierzch robiony z włóczki białej a podszewkę z włóczki niebieskiej. Najpierw robi się podszewkę gładko tam i na powrót, zacząwszy od prostego brzega na o. 228, a dla nadania formy trójkątnej gubi się w 26 początkowych obrobieniach zawsze po 2 o. na końcu, to jest zrabia się 3 o. razem. W 52 następnych rzędach gubi się tylko po 1-nem oku; potem w 6-ciu obrobieniach po 2 o., w 4 po jednem, w dwóch po dwa, znów w 4 obrobieniach po 1 o. w dwóch po 2 o., w 12 po jednem o. w 2 po 2 o., znów 6 razy po jednem, 2 razy po 2 o., 12 razy gubić po 1 o., 2 razy po 2 o., 8 razy po 1, dwa razy po 2 oczy, 4 razy po 1 o., 4 razy po 2 o., 4 razy po 1 o., 10 razy po 2 o., a ostatnie 6 ocz. zakończyć. Podług wykończonej podszewki, robionej na grubych drutach jak próbka ryc. 36 w N. 43, dopasować trzeba wierzch biały, którego deseń składa się z 4-rech następujących, ciągle powtarzanych rzędów. Rząd 1 ciągle na przemian * 3 o. zrobić razem, 1 o. gł., 1 kręt., 1-no gł., *; rząd 2-gi kręto, 3-ci gładko, 4-ty kręto. W piątym rzędzie 3 o. robione oddzielnie zrobić razem a w jedno oko nad zrobionemi razem wziąść 3 oczy. Szlak gładko do chustki przyszyty robi się wzdłuż jednakowo wierzch i dodszewkę. Trzy obrobienia powinny z prawej strony wyglądać kręto, potem 12 obrobień ciągle na przemian, 1 przybrać zakładając nitkę od spodu druta do wierzchu, 1 o. zgubić kładąc drut od wierzchu do środka, nakoniec 3 rzędy kręte. Zakończyć szlak jak zwykle pończochę i przyczepić frendzlę wiązaną w pęczki niebieskie i białe, w sposób wskazany na ryc. 38 w N. 43; do rogów dolnych dodać długie, rozczesane kwasty białe. Można także na całej chustce w odstępie 9 cent. naszyć pęczki niebieskie, których rzędy w równych odstępach mijać się powinny. Inną odpowiednią frendzlę podajemy na ryc. 37 w N. 43. Na modelu pęczki przy frendzli ryc. 38, dane były 4 razy na przemian, białe i niebieskie.

N. 21—22. Paletot jesienny. Krój podług ryc. 35—36 w N. 18 Tygodnika.

Rycina 21 przedstawia z przodu, paletot z ciemnego szewiotu, zapinany na dwa rzędy guzików rogowych. Duży wykładany kołnierz, oszyty jest frendzlą kwastową, wełnianą, 9 cent. szeroką. Kieszenie, mankiety i brzegi w koło są przestębnowane. Ryc. 22 przedstawia z tyłu paletot z niestrzyżonego materyału w kolorze ciemno-piaskowym, z kołnierzem, mankietami i kieszeniami z materyi takiegoż koloru. Gruby sznur jedwabny z kwastami, naśladuje sznurowanie na plecach. Zęby ze wstążki karbowanej i szeroka krepowana frendzla jedwabna stanowią bogate oszycie u dołu. Przy kieszeniach i mankietach kwasty jedwabne.

N. 23—26. Amazonka. Model do angielskiego kroju spódnicy ryc. 25, do zwyczajnej spódnicy ryc. 26.

Na ryc. 23—24 przedstawiającej amazonkę z przodu i z tyłu, widzimy że krój takowej bardzo mało się zmienił. Materyałem najwięcej używanym jest ciągle cienkie sukno czarne, granatowe lub ciemno zielone; lubo można także robić amazonki z aksamitu albo materyi wełnianych. Wypustki mogą być z materyi lub z pięknej taśmy, guziki szmuklerskie albo oszyte materyą. Stanik z tyłu zakończony krótkiemi nakształt fraka połami, a z boków i przodu krótką baskiną, zapinany być może pod szyję na dwa rzędy guzików, skośnie, lub na jeden rząd z podłużnym wykrojem i wyłożonemi klapkami. Rękawy obcisłe zapinane przy zwierzchnim szwie na guziki albo ozdobione wyłożeniem. Kołnierzyk i mankiety płócienne; krawatka zapięta szpilką z podkową szpicrutą albo żokiejką. Spódnica krojem angielskim, z przypuszczeniem na kolana, podług ryc. 25 albo zwykła podług ryc 26.

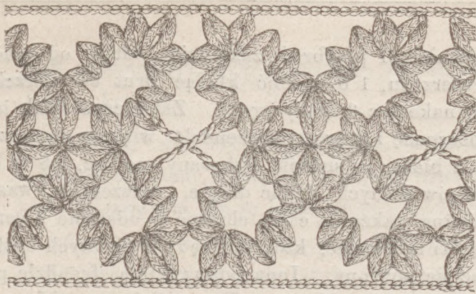


N. 1. Suknia z vêtement. N. 2. Sukienka z kaftanikiem, dla małej dziewcz. N. 3. Sukienka princesse skośnie zapięta.

Opis do N. 43.

N. 1—2. Peleryna podwójna oszyta siatką gipiurową.

Jako dopełnienie spacerowego ubrania, na ciepłe dni jesienne, modne okrycie stanowią pelerynki podwójne z dużym marynarskim kołnierzem, któren może także być oddzielnie noszony przy sukni. Na ryc. 5 w N. 41 Tygodnika, podaliśmy suknię z takim kołnierzem, garnirowaną siatką, którą zastąpić może koronka, haftowane galony, albo frendzla; zawsze jednak garnirunek sukni powinien być taki jak przy pelerynce. Formę podobnej pele-



N. 4. Wszywka z tasiemeczki w ząbki.

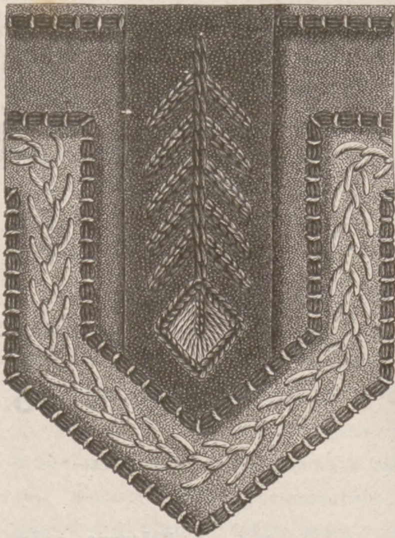
rynki pod‑ ‑aliśmy już wielokrotnie, nadmienimy więc tylko, że w ‑rodku pleców nitki powinny iść prosto podłużnie. Model odrobiony był z ciemno-szafirowego kaszmiru, pelerynka spodnia miała 42 cent. długości z przodu, 56 cent. z tyłu, a 90 dolnego obwodu w każdej połowie, zwierzchnia 19 cent. długości z przodu, 33 z tyłu a 60--62 obwodu w połowie. Obiedwie są na plecach rozcięte od dołu, a w górze wszyte razem w listewkę 2 cent. szeroką. Brzegi podszyte są 3 i 4 cent. szeroką listwą z kaszmiru, dopasowaną podług formy i przestębnowaną w górze. Wstawka 9 cent. szeroka składa się z kwadratów robionych oddzielnie z nici niewarowych i spajanych ze sobą; niewarowy szlaczek jest 3 cent. szeroki. Kołnierz marynarski ma 17 cent. szerokości w prostym tylnym brzegu, 15—16 cent. środkowej, a 31 cent. długości brzegów bocznych. Różne stosowne desenie na siatkę znajdują się w poprzedzających N-rach Tygodnika Mód.

N. 3. Chustka trójkątna robiona w ramach.

Model chustki robiony był w ramie drewnianej, w deseń z gwiazdek i kulek przecinanych, z włóczki popielatej i białej przewiązywanej jedwabiem białym. Brzegi proste oszyte były frendzlą kuleczkową, 16 cent. szeroką, z włóczki w obydwóch kolorach; brzeg górny obrobiony ząbkami szydełkowemi. Do zapięcia służyła popielata włóczkowa, szmuklerska agrafka.

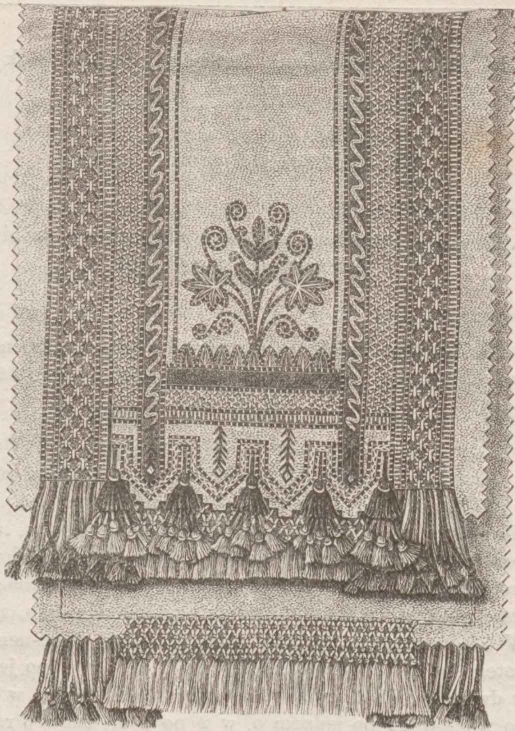
N. 4. Chustka krzyżówka z kaszmiru. Krój podług ryc. 4 w N. 23.

Chustki kaszmirowe czarne albo

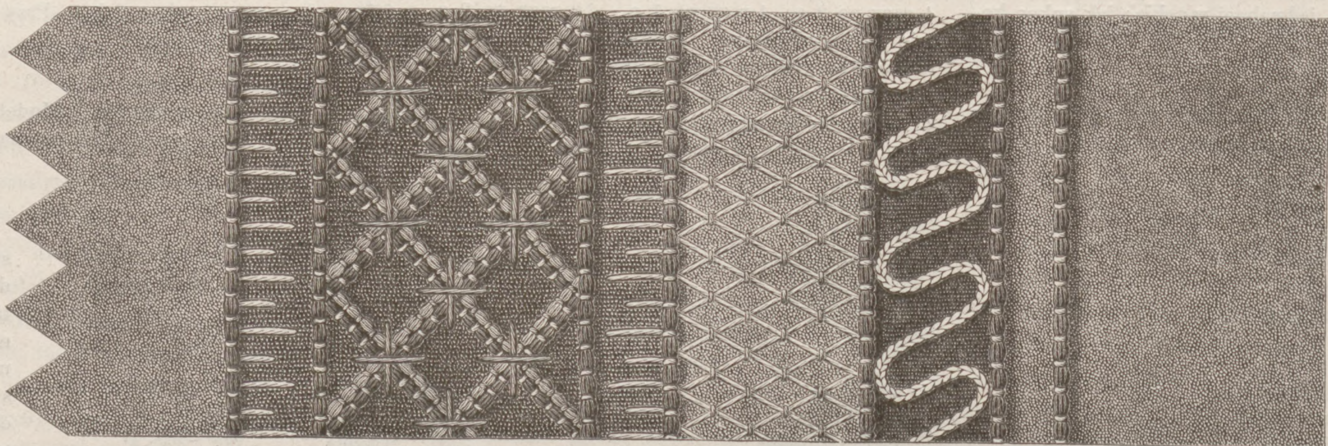


N. 9. Lambrekina do ryc. 6.

w takim jak suknia kolorze, oszyte bywają frendzlą włóczkową robioną w ramach, (jak na próbce ryc. 37) albo też piękną, szeroką frendzlą jedwabną, którą przyszywa się do wązko obrąbionych brzegów prostych i do brzegu skośnego o ile ten wywija się na wierzch nakształt kołnierza. Z przodu zapina się chustkę na haftki przykryte kokardą ze wstążki repsowej, 6 cent. szerokiej.



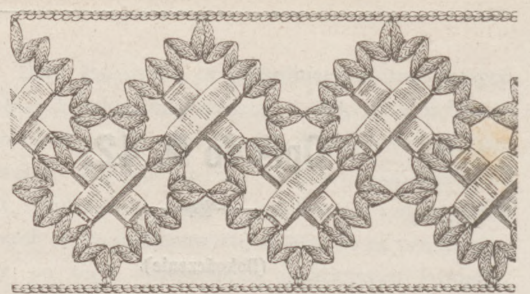
N. 6. Serweta na stolik do szycia. Patrz ryc. 7—9.



N. 7. Część pasa do serwety ryc. 6.



N. 8. Arabeska środkowa do ryc. 6.



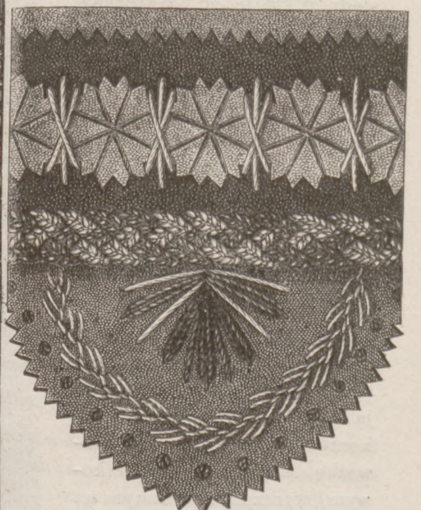
N. 5. Wszywka z tasiemeczki gładkiej i w ząbki.

N. 6—8. Kieszonka do igieł.

Na kieszonkę potrzeba dwóch kawałków atłasu lub innej materyi, 11 cent. długich a 8 szerokich. Pod jeden z nich, (mający stanowić podszewkę) podkłada się kawałek miękkiej flanelki i stębnuje w kratkę jedwabiem w maszynie; drugi zwierzchni kawałek zdobi kratka kordonkowa odrobiona podług próbki ryc. 7. Inną próbkę wyszycia na matelassé podajemy na ryc. 8. Obiedwie części składa się ze sobą i obejmuje brzegi wstążeczką stębnowaną; następnie jeden z poprzecznych brzegów zakłada się na 3 cent. do środka, zeszywa nieznacznie z brzegów przedziela na 4 kieszonki do 4-ch papierków igieł, a w górnej części nad przedziałkami wyszywa się N-ry igieł ściegiem sznureczkowym. Do zapięcia służą guziczki i pentelki z elastyki. Model odrobiony był z atłasu bordo; objęty wstążeczką i wyszyty z wierzchu kordonkiem srebrno-popielatym.

N. 9. Batystowa chusteczka do nosa, haftowana w tamborku, ściegiem łańcuszkowym. Deseń Fig. 32 na arkuszu z krojami do N. 40—41.

Na chusteczce trzymającej 40 cent. w kwadrat, deseń wyszyty był bawełną turecką, koloru ponsowego i szafirowego, ściegiem zwanym

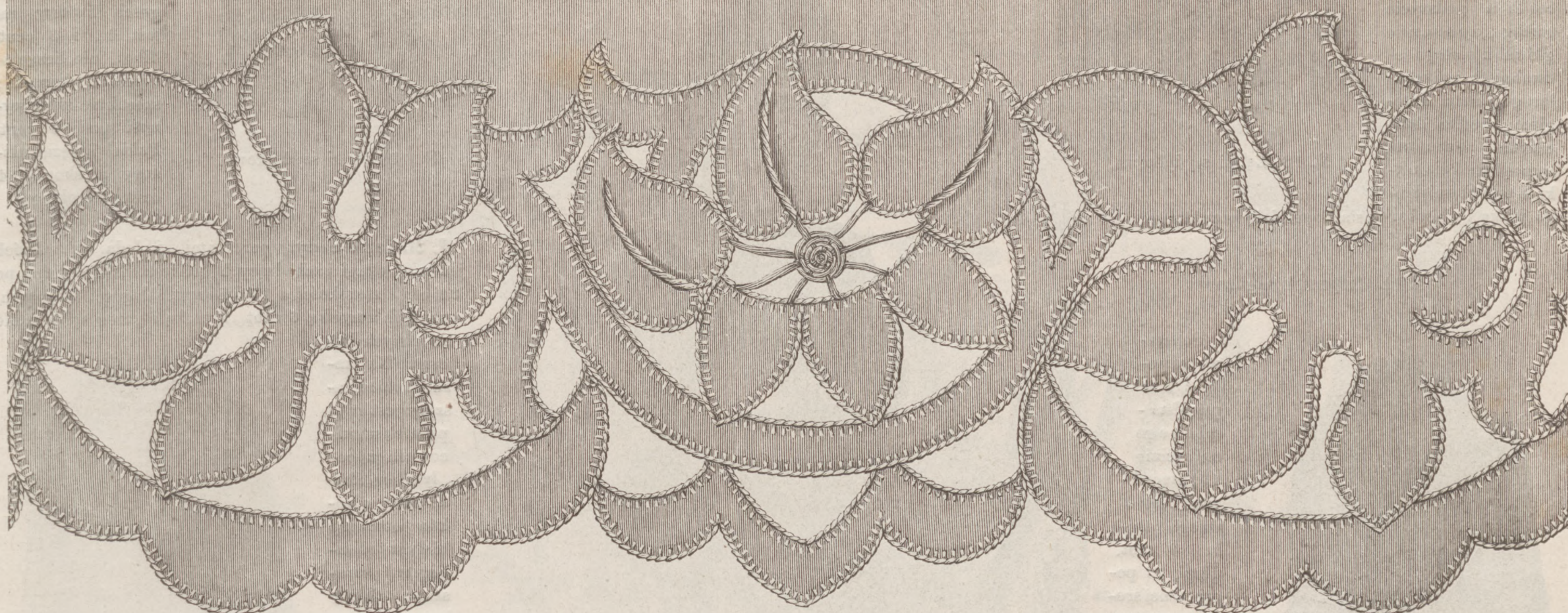


N. 10. Lambrekina do koszyczków, etażerek i t. p.

tamburkowym, łańcuszkowym lub sznureczkowym, bawełnę brać trzeba prawdziwą turecką jako dobrą do prania.

N. 10. Różne chustki i szaliki włóczkowe.

Na ryc. 10 podajemy razem ułożone chustki i szaliki włóczkowe;



N. 11. Szlak do firanek, portyer itp. Dzierganie na płótnie.

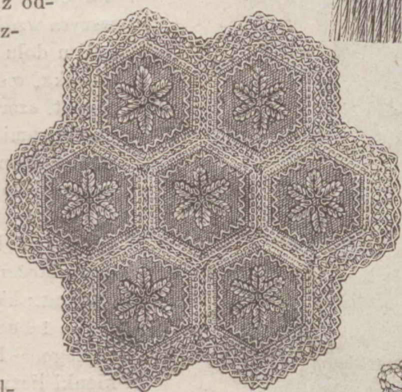
na spodzie leży chustka kwadratowa robiona w ramie drewnianej, z włóczki angielskiej granatowej z frendzlą z kulek białych z bronzowem, mająca w kwadrat 102 cent., oprócz frendzli 17 cent. szerokiej. Druga chustka tkana jest fabrycznie (naśladowanie krymskich baranków) z włóczki jasno popielatej; frendzla kuleczkowa ma 9 cent. szerokości. Na chustkach leżą dwa szaliki, mniejszy trzymający 10 cent. szerokości a 112 cent. długości, robiony w ramach z włóczki niebieskiej i białej, sposobem kuleczkowym, zakończony sutemi kwastami. Drugi szalik na głowę mający 76 cent. szerokości a 172 długości, robiony jest na drutach z włóczki mohairowej białej, w końcach poprzecznych przyrabiana szeroka frendzla wiązana.

N. 11. Deseń do wyszycia sutaszem i dżetem do ryc. 27—28.

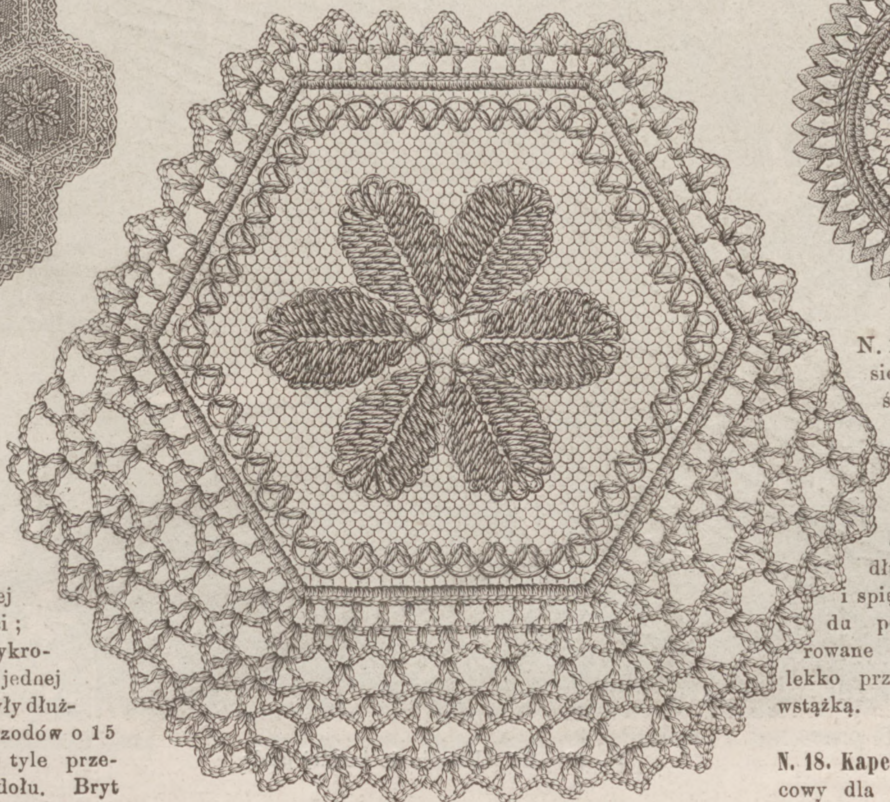
N. 12—13. Ubranie dla małych dziewczynek.

Rycina 12 przedstawia z przodu vêtement paltocikowe, z odznaczonym kaftaniczkiem, odrobione z sukienka piaskowego, z wypustkami z atłasu bronzowego ze sznureczkiem, zapinane na kamienne kuleczkowe guziki bronzowe. Zaś na ryc. 13 widzimy kostium z kolorowego aksamitu lub welwetu, z wypustkami i guzikami odmiennego koloru. Na modelu przody przykrojone podług zwykłej formy princesse, miały 62 cent. przedniej długości, a 43 dolnej szerokości, i były bez zaszewek. Luźno puszczone przody kaftaniczka, wszyte między szew boczny i na ramionach, miały 43 cent. długości z przodu, 25 cent. z boku, a 22 cent. dolnej szerokości; plecy przykrojone w jednej sztuce, były dłuższe od przodów o 15 cent. i o tyle przecięte od dołu. Bryt prosty dopełniający spódniczkę z tyłu, miał 63 cent. szerokości, a 28 cent. długości, w górze był zaszyty w 3 kontrafałdy, odpowiadające szerokości pleców, objęty w listewkę i przyszyty do podszewki pleców przy wcięciu w stanie. Gładkie mankiety trzymały 8, a kołnierz 6 cent. szerokości.

N. 12. Frendzla. Robota wiązana (macramé).



N. 13. Serwetka do mebli. Wywodzenie na tiulu i robota szydełkowa. Patrz ryc. 14.



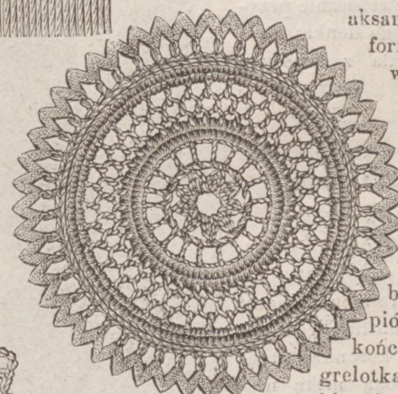
N. 14. Część serwetki z obrobieniem brzeżnem, do ryc. 13.

N. 14—15. Rękawy do sukien.

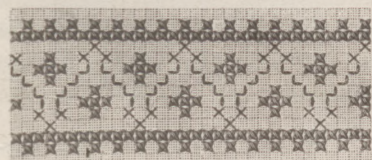
Na ryc. 14 podajemy rękaw do sukni z adamaszku wełnianego i gładkiej jedwabnej materyi. Rękaw i dwie gładkie połowy mankieta, przyszyte w sposób na ryc. 14 wskazany, są z adamaszku z wypustkami jedwabnemi; części zaplisowane, przepięcie węzeł i kokardy są z materyi gładkiej. Na ryc. 15 widzimy rękaw do sukni wełnianej, przystrojony takimże mankietem oszytym jedwabną wypustką i dopełniony w górze podwójnem plisowaniem z materyi. Kokardy ze wstążki repsowej albo z materyi skośnie ściętej.

N. 16—17. Kapelusz aksamitny zdobny piórami i wstążką.

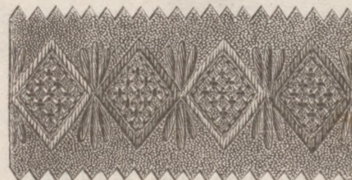
Zwierzchnie przybranie aksamitnego kapelusza formą kapotki stanowi alzacka kokarda i dyjadem ułożony w połowie szerokości z mieniących się piórek niebiesko-zielonych, w drugiej połowie z błyszczących się piórek czarnych zakończonych dżetowemi grelotkami. Cztery pukle alzackiej kokardy po 12 cent. długie, ułożone z czarnej repsowej wstążki 6 cent. szerokiej podłożonej wstążką caroubier wyglądającą tylko z brzegów jako wypustka. Z pod kokardy przeprowadzone są do tyłu końce z wstążki czarnej i caroubier po 67 cent. długie, przewleczone z boków pod spód karczka i spięte poniżej rozetą z wstążki. Rondko od spodu podgarnirowane illuzyą i lekko przewiniętą wstążką.



N. 15. Gwiazdka Tasiemeczka w ząbki, ścieg koronkowy i robota szydełkowa.



N. 16. Szlaczek wyszyty krzyżykami.

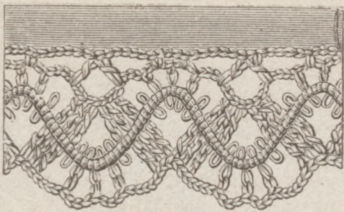


N. 17. Szlaczek wyszyty ściegiem luźnym na sukien.

N. 18. Kapelusz filcowy dla młodych panienek.

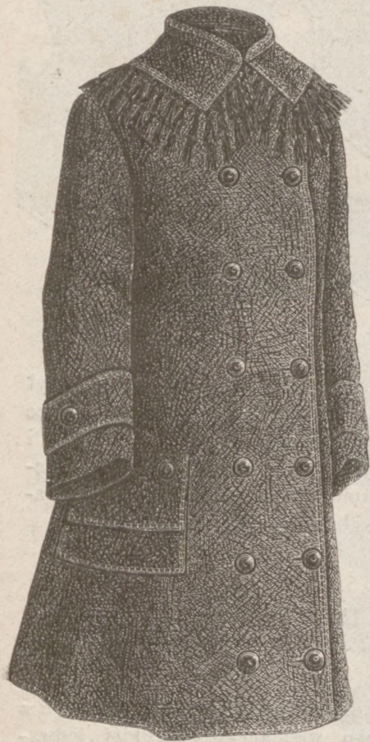
Przy matowo bia-

łym filcowym kapeluszu efektownie odbija podszycie ronda; opasanie główki z białego jedwabnisto połyskującego pluszu. Brzegiem rondka dana czarna aksamitna wypustką; dwie nitki z piórek rajskiego ptaka i główka ptasia dopełniają przybrania.



N. 18. Ząbki szydełkowe.

N. 19. Czepeczek negliżowy.



N. 21. Paletot jesienny. Patrz ryc. 22.

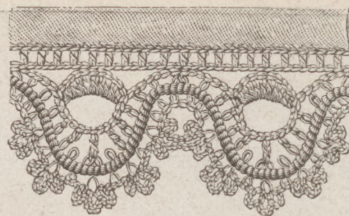
Podstawę czepeczka przedstawionego na rycinie 19 stanowi owal sztywnego tiulu 20 cent. długi, 17 poprzecznej średnicy mający, z brzegów oszyty agremanem przez założenie fałdek zmniejszony do 46 cent. obwodu, przez co staje się trochę wypukłym. Dwa rzędy muślinowego plisowania, 4 cent. szerokiego oszytego tiuliczkiem, przedzielone plisowaniem z kolorowej wstążki 6 cent. szerokiej stanowią otoczenie brzeżne. Denko przysłonięte jest fantazyjnem upięciem z muślinu, na które potrzeba skośnego kawałka oszytego wszywką i koronką nicianą 4 cent. szeroką, liczącego 90 cent. długości a 14 szerokości; skos ten upięty jest podług ryc. 19 w dwa pukle (14 i 12 cent. długie) lekko odstające i w dwa końce (20 i 16 cent. długości) przewiązane węzłem. Pukle i końce trzeba gdzieniegdzie niewidocznie przyczepić do tiulowego denka; z tyłu spada kokarda z repsowej wstążki.



N. 20. Trójkątna chusteczka jako zarzutka na głowę lub na szyję. Robota na drutach.

N. 20—21. Dwa żaboty.

N. 20. Żabot z kolorową nicianą koronką. Model odrobiony był z różowego muślinu i oszyty 10 cent. szeroką koronką, przerabianą z jedwabną nitką niebieską różową i żółtą. Spodni większy koniec liczy z jednego brzegu 18, z drugiego 7 cent. długości krótszy zaś jest 11 i 3 cent. długi, nie licząc oszycia z koronki; szerokość końcy wynosi po 33 cent. Pukiel i węzeł ułożony ze skosu 14 cent. szerokiego.



N. 19. Ząbki szydełkowe.

N. 21. Żabot naszyty perełkami. Składa się z dwóch jeden na drugi zachodzących końcy z białego tiulu, po 32 cent. szerokości a 15 i 8 cent. długości mających, oszytych koronką 6 cent. szeroką i przez splisowanie zwężonych do 9 cent. Na każdej fałdce naszyty jest rząd perełek szmelcowych z połyskiem „*clair de lune*“ z boków otoczony białym jedwabnym sutaszem. Górny brzeg końcy zebrany jest pod fantazyjną kokardą z wstążki tilleul 2 cent. szerokiej i przyszyty do wstążki 100 cent. długiej którą opasuje się na szyi i wiąże z tyłu na kokardę.

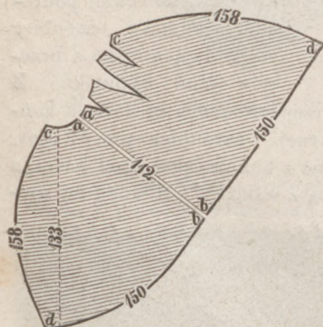


N. 22. Paletot jesienny. Patrz ryc. 21.

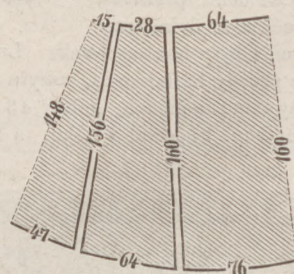
N. 22-23. Sukieneczka princesse dla małych dziewczynek. Wykończona z ciemno wełnianego materyału gładkiego i w deseń ma wzdłuż przodów i w połowie długości pleców wszyte oddzielne części odznaczone wypustką ze sznureczkiem, (dó gładkiej sukienki części te są deseniowe do deseniowej z gładkiego materyału). Boczne i tylne bryty sukienki przybrane są u dołu fałdowaniem przepiętem kokardami, z jednego boku przytrzymanem kieszonką. Sukienka przedstawiona z przodu i z tyłu na ryc. 22—23 liczy z przodu 57, z tyłu 63 cent. długości a 140 c. dolnego obwodu. Część z gładkiego materyału wszyta wzdłuż przodów jest u góry i u dołu 12 w środku 7 cent. szeroka, w dolnej połowie naszyta 2 cent. szerokiemi pliskami, zachodzącemi na siebie. Na fałdowanie dolne u pleców i boków sukienki potrzeba skośnego kawałka 33 cent. szerokiego, u góry 50 u dołu 60 cent. długiego, przez złożenie fałd zwężonego do 16 cent.; kieszonka złożona z kawałka 16 cent. długiego, 26 szerokiego. Plisowanie u dołu sukienki liczy 7 cent. szerokości i jest przeszyte środkiem lub u góry. Guziczki z konchy perłowej i kokardki z wstążki 5 cent. szerokiej stanowią przybranie. *(d. n.)*.



N. 23—24. Ubranie do konnej jazdy.



N. 25. Wskazanie kroju amazonki angielskiej. Do ryc. 23—24.



N. 26. Wskazanie kroju zwyczajnej amazonki.